

odgłosy



50 (734)
12. XII. 1971 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. W. Parys

WOJCIECH NATANSON

O mecenacie artystycznym

Wydaje mi się, że można by sformułować kilka zasad dotyczących sytuacji sztuki w świecie współczesnym. Zasad, potwierdzonych przez doświadczenie.

1. Sztuka odgrywała i odgrywa poważniejszą rolę w życiu społeczeństw, niż się czasem sądzi. Wystarczy podać jako przykład, rolę muzyki, malarstwa, literatury i teatru, a także artystycznie pojmowanej historiografii w historii

porozbiorowej naszego narodu. Rola tę zauważyli także i obcy. Zapomniany krytyk francuski Louis Lemaitre, we wstępie do swej przenikliwej rozprawy o poezji Słowackiego wykazywał, że po utracie niepodległości dowodem witalności narodu polskiego i zapowiedzią odrodzenia stała się wielka poezja romantyczna, szczególnie mickiewiczowska. Recenzenci amerykańscy, pisząc o występach Mordejewskiej nazywali sztukę pol-

ską największym narodowym kapitałem. Sami zaborcy, ostrymi kararami za czytanie czy przemykanie polskich książek złożyli jej mimo-wolny hołd. Sztuka przyczyniła się także do rozbudzenia uśpionej świadomości ludności takich ziem, jak Górny Śląsk. Niezmiernie ciekawa książka opolskiego pisarza, Zbyszko Bednorza „Nad rocznikami dawnych gazet śląskich” (Wyd. Instytutu Śląskiego w Opolu), przypomniała nam te fakty. Czytanie Mickiewicza, Kraszewskiego czy Sienkiewicza, zbiorowe wycieczki do Krakowa, organizowanie chórów i teatrów amatorskich, miały wpływ na samowiedzę narodową. Czytając Bednorza przypominamy sobie przejmujące wrażenia, odnoszone przy oglądaniu filmu Kazimierza Kutza „Sól ziemi czarnej”. Władze pruskie czuły wagę zjawiska. Gdy chciano urządzić przedstawienie w ratuszu opolskim, burmistrz w ostatniej chwili, i bez podstawy prawnej, pozwolenie cofnął.

Równie doniosła była rola sztuki w dziejach odrodzenia czeskie-

WITOLD SŁAWSKI



Trwają obrady VI Zjazdu PZPR. Chociaż 1.815 delegatów wybranych na konferencjach wojewódzkich i zakładowych w dyskusji plenarnej i w zespołach problemowych rozważa przede wszystkim dalsze kierunki rozwojowe kraju — nie brak przecież w toku obrad wątków problematyki międzynarodowej. Znajduje ona swoje szerokie odbicie w sprawozdaniu Komitetu Centralnego, referacie programowym Biura Politycznego, wygłoszonym przez Edwarda Gierka, w wystąpieniach licznych gości zagranicznych oraz w samej dyskusji. Jeden z zespołów Zjazdu dyskutował wyłącznie problemy międzynarodowe. Wytuszkajmy więc z dotychczasowego przebiegu obrad najważniejsze z tych zagadnień.

Socjalistyczna wspólnota stanowi siłę, wpływającą na bieg wydarzeń w świecie. Znajduje się ona w procesie nieustannego rozwoju. Przyjęty na XXV sesji Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej program współpracy naukowo-technicznej, kooperacji produkcyjnej i pogłębienia międzynarodowego podziału pracy otwiera dalsze możliwości integracji gospodarczej. Wzmacnia to ekonomiczną siłę wspólnoty.

Kraje socjalistyczne z pełną konsekwencją realizują politykę pokoju i zapewniania narodom bezpieczeństwa. Dziś, w dobie zagrożenia nuklearnego, nie ma problemów ważniejszych niż utrwalenie pokoju. Prowadzona w tym kierunku przez kraje wspólnoty polityka przynosi rezultaty. Powstają na naszym kontynencie realne przesłanki do zbudowania systemu bezpieczeństwa. Droga do tego celu prowadzi przez uznanie europejskich realiów, ratyfikowanie, a więc wprowadzenie w życie układów Polski i ZSRR z Niemiecką Republiką Federalną, przygotowanie i zwołanie ogólnoeuropejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy. Mówił o tym w referacie zjazdowym I sekretarz KC PZPR — Edward Gierek. Przytoczmy jego słowa.

„Ten niezmiernie ważny proces normalizacji stosunków w Europie środkowej — to integralna część walki o odprężenie, o trwały pokój i rozwój współpracy w całej Europie. Obecnie kluczowe znaczenie dla całokształtu spraw europejskich ma przygotowanie i możliwie jak najszybsze, jeszcze w 1972 roku, zwołanie zaproponowanej przez kraje socjalistyczne konferencji bezpieczeństwa i współpracy. Powinna ona otworzyć karty wspólnej budowy — przez wszystkie zainteresowane kraje Europy — bezpieczeństwa zbiorowego i szerokiej pokojowej współpracy”.

Właśnie w Warszawie obradowali ministrowie spraw zagranicznych państw — stron Układu Warszawskiego. Opublikowany komunikat o naradzie potwierdza gotowość krajów socjalistycznych do rozwiązywania wszystkich problemów na drodze uregulowania politycznego, przy respektowaniu praw i interesów narodów. Wynikają z niego praktyczne kroki, jakie należałoby rychło podjąć w celu konkretnego przygotowania europejskiej konferencji. Jest on także apelem do wszystkich zainteresowanych krajów o rozpoczęcie praktycznych przygotowań, które umożliwiłyby jej zwołanie jeszcze w 1972 roku.

Ale sytuacja w świecie daleka jest jeszcze od normalizacji. Trwa wojna w Wietnamie, niepokój wciąż krzysy na Bliskim Wschodzie, otwartym płomieniem zapalił się konflikt pakistańsko-indyjski. Droga do pokoju prowadzi więc przez wygaszanie ognisk zapalnych, eliminowanie niebezpieczeństwa wojny nuklearnej, zamrożenie i redukcję zbrojeń. Działaniom w tym kierunku podporządkowana jest dyplomacja krajów socjalistycznych.

„Polska Ludowa — czytamy w sprawozdaniu Komitetu Centralnego na VI Zjazd — wnosi poważny wkład do wspólnej walki o socjalizm, wolność narodów i pokój, jest w nią zaangażowaną całą swoją polityką zagraniczną, swoim potencjałem społecznym, ekonomicznym i politycznym, swoim autorytetem na arenie międzynarodowej”.

Zasadnicze założenia naszej polityki — to:

- jedność i przyjaźń, sojusz i współpraca ze Związkiem Radzieckim i innymi bratnimi krajami socjalistycznymi
- solidarność i poparcie dla narodów walczących o wolność, niezależność i postępy
- realizacja zasad pokojowego współistnienia między krajami o odmiennych ustrojach społeczno-ekonomicznych i dążenie do umocnienia bezpieczeństwa i pokojowej współpracy narodów.

Politykę tę realizujemy z powodzeniem, nie zaniebując żadnej okazji do rozmów i, tam, gdzie jest to możliwe, do zbliżania stanowisk. Z zadowoleniem delegaci na VI Zjazd Partii podkreślają pozytywną ewolucję w naszych stosunkach z wielu partiami komunistycznymi i kontaktach z wielu rządami.

Obrady Zjazdu jeszcze się toczą. Zrekapitułuje je uchwała. Z pewnością poświęci ona wiele uwagi również dalszym kierunkom działania naszej partii i rządu w dziedzinie umacniania światowego pokoju.

Dalszy ciąg na str. 8

Tokio: „Sytuacja beznadziejna“

„BUSINESS WEEK” — WASZYNGTON

Można to określić tylko tak: Tokio nie ma sobie równego miasta, ani pod względem zanieczyszczenia powietrza, ani pod względem przeludnienia. Japończycy obliczyli, że ich stolica jest odpowiedzialna za 15 proc. ogólnej objętości wylęgających się bakterii, którymi zanieczyszczają powietrze wszystkie miasta japońskie. Tokijskie fabryki wyrzucają w atmosferę w ciągu roku 1,7 miliona ton trujących gazów, a 2 miliony samochodów w stolicy „wzboğacają” je o 700 tysięcy ton dwutlenku węgla.

Jednakże zanieczyszczenie powietrza jest zaledwie częścią problemów stolicy Japonii. Niemal połowa miejskich nieczystości spływa do morza bez uprzedniego oczyszczenia, często odkrywając kanały. Płynąca przez miasto rzeka Sumida, która niegdyś służyła do czyszczenia, jest tak zanieczyszczona, że nosi dziś nazwę „rzeki śmierci”.

Ulice Tokio są zatłoczone samochodami do tego stopnia, że poruszanie się auta z szybkością 20 km na godzinę jest czymś wyjątkowym. Średnia szybkość ruchu autobusów nie przekracza 15 kilometrów na godzinę. Za dnia i nocą. Miejskimi środkami lokomocji — metrem, kolejami elektrycznymi i autobusami przewozi się ponad dwadzieścia milionów ludzi dziennie! Pociągi płyną wartkim strumieniem, z przerwami w granicach minimalnych norm bezpieczeństwa.

Ale jeszcze bardziej skomplikowany i złożony jest problem mieszkaniowy. Obecnie brakuje stolicy 500 tysięcy mieszkań, ale już w przeciągu najbliższego roku liczba ta wzrośnie do 767 tysięcy. Dziś ponad milion ro-

dzin w Tokio mieszka w domach, będących w stanie awaryjnym, co przynajmniej eksperci uważają za najgorszą wstrząsłość w ocenach. Na 2,6 miliona budynków ponad 64 proc. to domy drewniane. W czasie pożarów całe dzielnice zabudowane takimi domami przemieniają się w „płonące pulapki”.

Sokiti Chitani, dyrektor stołecznego biura planowania miejskiego mówi, że władze municypalne stolicy asygnują środki w wymiarze wystarczającym na budowę zaledwie 4 tysięcy mieszkań rocznie. Tak więc stolica Japonii nie ma ani jednej szansy na zlikwidowanie kryzysu mieszkaniowego w najbliższej przyszłości.

Szczególnie niebezpieczna sytuacja wytworzyła się w tokijskiej delcie, tj. w rejonie poprzecinanych korytami licznymi rzek i sztucznych kanałach. Specjaliści są zdania, że jeśli się powtórzy trzęsienie ziemi, jakie nawiedziło stolicę w 1923 roku, to rejon ten, praktycznie rzecz biorąc, zostanie zmieciony z powierzchni ziemi. Delta tokijska zapada się w szybkim tempie. Proces ten zaobserwowano po wybudowaniu w tej części miasta liczących fabryk budowy ciężkich maszyn oraz intensywnej eksploatacji wód gruntowych.

Gubernator Tokio, Minobe, jeden z wybitnych działaczy partii socjalistycznej, określa ogólną sytuację stolicy dwoma słowami: „Polożenie beznadziejne”. Kampanię przedwyborczą partii przeprowadził Minobe pod hasłem: „Niebieskie niebo nad Tokio”. Ale ani on, ani miliony mieszkańców tego gigantycznego azjatyckiego miasta nie wierzą, by niebo nad Tokio było kiedykolwiek niebieskie.

Wydarzenia w Chinach

„WASHINGTON POST” — WASZYNGTON

Jak podają różne źródła informacyjne, Lin Piao został najwidoczniej odsunięty od władzy podczas wielkiego tasowania wewnątrz kierownictwa chińskiego. Usunięcie Lin Piao, co najwidoczniej zaaprobował Mao, nastąpiło w konsekwencji bardzo złożonej walki o władzę, która rozpoczęła się kilka miesięcy temu, ale punkt kulminacyjny osiągnęła tego lata i wczesną je-

sienią. Umocniło to, rzecz jasna, autorytet Czou En-laj i jego stronników, ale też poderwało prestiż Mao, który osobiście pasował marszałka do roli swego głównego pomocnika i konstytucyjnego następcy.

„TOKIO SHINBUN” — TOKIO

Jak wynika z informacji kół rządowych Japonii, w ostatnim czasie, w łonie kie-

rownictwa Chin zaszły zmiany, w szczególności ustąpienie ze stanowiska zastępcy przewodniczącego KC KPCh, Lin Piao, jest faktem nie ulegającym wątpliwości. Przyczyną tych zmian była różnica zdań wśród przywódców chińskich na temat wizyty prezydenta Nixona w Chinach. Ale także i to, że zastępca przewodniczącego, Lin Piao, solidaryzował się i okazał poparcie stanowisku kół wojskowych, a przede wszystkim wojskowych sił lotniczych, w ich wystąpieniach przeciwko wizycie Nixona w Chinach.

W związku z tym, i tak już przedłużające się zwolnienie sesji Ogólnochińskiego Zgromadzenia Delegatów Ludowych będzie znów odłożone z powodu zmian w kierownictwie chińskim, aż do stycznia przyszłego roku.

Wizyta Nixona wywołała wewnątrz kraju poważne różnice zdań pomiędzy grupą premiera Czou En-laj, która popiera wizytę Nixona w Chinach, a radykalnym ugrupowaniem okresu wielkiej „rewolucji kulturalnej”.

„EVENING STANDARD” — LONDYN

Według informacji z Chin ambasadam w Pekinie zalecono nie wymieniać nazwiska Lin Piao podczas uroczystych toastów z okazji oficjalnych spotkań, jak również w pismach kierowanych do rządu chińskiego.

„THE GUARDIAN” — MANCHESTER

Rozwiązanie rebusu chińskiego, z którym zetknęliśmy się obecnie jest również trudno, jak wydość się z labiryntu.

Historyjka, inspirowana przez oficjalne kół Waszyngtonu o spisku Lin Piao, mającym na celu usmierzenie przewodniczącego Mao, a następnie ucieczkę i śmierć Lin Piao, jest wątpliwego pochodzenia. Z czysto ludzkiego punktu widzenia nie można wprost uwierzyć, żeby słaby, chory na gruźlicę i w dodatku lojalny Lin Piao, zaczął knuć spisek z zamiarem zabójstwa Mao. Szczególnie z politycznego punktu widzenia podobna sytuacja jest całkiem obca ogólnemu „stylowi” chińskiego życia politycznego po 1949 roku.

Usunięcie Lin Piao bynajmniej nie zaskakuje. Jego nazwisko raczej stopniowo zniknęło z informacji radiowych, niemniej od czasu do czasu przewijało się w nich do połowy października, tj. do momentu, kiedy minął

miesiąc od jego rzekomej ucieczki.

„Linia” polityczna, którą prowadzi prasa i radio od czasu zniknięcia Lin Piao, nie sugeruje jakichkolwiek gwałtownych przesunięć w kierownictwie (jak to było na różnych etapach „rewolucji kulturalnej”), a raczej świadczy o stabilizacji istniejących tendencji.

Jednak nie można też odrzucać kontrargumentów bez wnikliwej analizy. Po pierwsze — nie ma żadnych podstaw do przypuszczeń, że sam Lin Piao jest całkowicie odrodzony od krytyki, czy też nie może być pociągnięty do odpowiedzialności za błędy, popełnione w okresie „rewolucji kulturalnej”. Należy uwzględnić fakt, że armia była w Chinach jedyną instytucją, nie podlegającą „czystce” w procesie „rewolucji kulturalnej”. Lin Piao może odpowiadać za błędy dokonane przez jego podwładnych i uznane teraz za przestępstwa.

W ostatnich kilku dniach prasa chińska i radio zaczęły szerzyć pogłoski o istnieniu „spisku” wśród ludzi stojących u steru władzy. „Garska wrogów klasowych” — mówiono w jednym z komentarzy radiowych — należała maski rewolucjonistów. W słowach podtrzymuje zasady marksizmu-leninizmu i nauki Mao Tse-tunga, ale obok tego prowadzi wrogą działalność. Jeden z komentarzy nadany 5 listopada przez rozgłośnie radiową prowincji Niusia, trudno nie nazwać bezpośrednim atakiem na Lin Piao.

„Polityczni szubrawcy w Chinach — powiedziano w komentarzu — nazywają siebie uczniami przewodniczącego Mao, ale zajmują się działalnością przestępczą, która musi być zdemaskowana”.

Aluzja aż nadto przejrzysta. Lin Piao, który szczególnie odczuwał pod niebiosa Mao, dopóki ten żyje, może zwrócić się przeciwko niemu z chwilą, gdy stanie się jego następcą.

Analizując argumenty „za” i „przeciw” można przeprowadzić wywód, który przeczy punktowi widzenia Waszyngtonu na polityczne wydarzenia w Chinach. Specjaliści, którzy nader uważnie śledzą rozwój wydarzeń w tym kraju, powinni też — z nie mniejszą uwagą — śledzić wydarzenia w Stanach Zjednoczonych, biorąc pod uwagę i to, jakim celem może służyć podobne przeklekanie informacji ze źródeł oficjalnych, których intencji zbadać nie sposób.

Incydent w bazie Pays

„UNITED PRESS INTERNATIONAL” — NOWY JORK

10 października w amerykańskiej bazie wojskowej Pays, w Południowym Wietnamie doszło do buntu w

jednym z oddziałów Idywilizji zmotoryzowanej. Żołnierze wyczerpani walkami, a być może, ciągłym oczekiwaniem na zwycięstwo, w które przestali wierzyć, odmówili wykonania rozkazu. Bezpośrednim powodem buntu były trwające już od trzech tygodni starcia na granicy południowowietnamsko-kambodżańskiej, 100 kilometrów na północny zachód od Sajgonu. Od początku ofensywy wojsk zwolenniczych w prowincjach Krek (Kambodża) i Tai-ni (płd. Wietnam) baza znajdująca się pod nieustannym ogniem artylerii sił patriotycznych.

Pierwsze informacje o niepokojach w bazie podał amerykański dziennikarz, Richard Boyd, ale dopiero 11 listopada dowództwo amerykańskie oficjalnie potwierdziło te doniesienia. W komunikacie władze wojskowe próbowały pomniejszyć znaczenie tego incydentu.

Boyd, korespondent pisma „Ramparts”, przywiózł ze sobą do Stanów petycję z 54 podpisami oraz taśmę magnetofonową.

Żołnierze wręczyli mu te dokumenty z prośbą o przekazanie ich senatorowi Kennedy’emu i Kongresowi USA. Oba dokumenty wskazują na przyczyny buntu. Amerykański oddział otrzymał rozkaz kontratakowania pozycji patriotów wietnamskich w huraganowym ogniu artylerijskim przeciwnika. Żołnierze powiedzieli, że „rozkazu nie mogą wykonać, gdyż byłoby to zwykłym samobójstwem”. Dowódca oddziału, kapitan Cronin, uprzedził żołnierzy, że grozi im za to sąd polowy.

Po odmowie wykonania rozkazu, 54 żołnierzy posta-

nowiło powiadomić Kongres USA o okolicznościach, w jakich to nastąpiło. Udało im się spotkać z Richardem Boyd, któremu powiedzieli otwarcie, że nie chcą otwierać ognia do partyzantów.

„Odmówiliśmy wykonania rozkazu, ponieważ był on bezprawny, a oprócz tego wystawiał nas na śmierć samobójczą. Nixon mówi, że powinniśmy się ograniczać wyłącznie do działań obronnych, a w rzeczywistości zmusza się nas do nieustannych operacji ofensywnych. Poza tym ci, którzy wydają takie rozkazy, powinni choć trochę ruszać mózgiem i zastanowić, że wychodzenie nocą z bazy, kiedy wokół pełno żołnierzy Vietcongu, jest czystym nonsensem. Nie chcemy umierać w tej wojnie, a sytuacja militarna jest zupełnie inna, niż podaje się to oficjalnie. Kampania jest przegrana i powinniśmy stąd wyjść już kilka lat temu”.

W Waszyngtonie senator Edward Kennedy zażądał przeprowadzenia śledztwa w sprawie zaburzeń w bazie Pays. Przede wszystkim zwrócił on uwagę na fakt, że liczne dowody świadczą, iż owym 54 żołnierzom kazano przekroczyć granicę Kambodży. A przecież w grudniu ub. roku Kongres zaaprobował poprawkę do uchwały, która zabrania wprowadzania wojsk amerykańskich na terytorium Kambodży. Oczywiście, chcielibyśmy wiedzieć — powiedział Kennedy — czy przestrzega się tego postanowienia.

Podobne incydenty zdarzają się i w innych amerykańskich bazach wojskowych w Wietnamie Południowym.

Listy do redakcji

Szanowna Redakcjo!

Lubię i cenię sobie „Odgłosy”, bo bogate są treścią i formie. Czytam więc je z zainteresowaniem i satysfakcją.

Jestem łodzianką i jako taka wdzięczna Szanownej Redakcji za to, że tyle miejsca poświęca w tygodniku swym naszemu pracowitemu miastu i jego mieszkańcom. Może i teraz zainteresuje Was, Drogie Panie i Panowie, sylwetka Tadeusza Juteyki, pedagoga, muzyka i kompozytora, który choć urodził się na Ukrainie, upodobał sobie Łódź i w niej pracował przez szereg lat. Prowadził chóry w szkołach średnich i był dyrektorem Szkoły Muzycznej im. Fr. Chopina. Od 1918 r. przeniósł się do Warszawy, pracując w Filharmonii.

W Łodzi był b. szanowany, ceniony i kochany przez młodzież. Juteyko posiadał w swym dorobku wiele utworów obejmujących prawie wszystkie dziedziny kompozycji. Swój talent najwięcej ujawnił w wystawieniu opery pt. „Zygmunt August”. Sliczne są jego pieśni liryczne, np. „Wstań pieśni”, „Noc taka jasna”.

Otóż w 1972 r. przypada 100-lecie jego urodzin. Czy nie warto by było poświęcić mu kilka słów? Tyle tu pracy włożył, tworząc i wychowując. Można by nazwać jedną z ulic miasta jego imieniem. Co Szanowna Redakcja myśli o tym? Łączę wyrazy głębokiego szacunku i serdeczne pozdrowienia.

JADWIGA OSSOWSKA

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

SZTUKA NA DZIŚ

Fotografia dokonała w swoim czasie przewrotu w sztuce równemu rewolucji. Oddbity na kliszy obraz wyrugował potrzebę naturalistycznego kopiowania natury. Było to pierwsze uderzenie, zadane w podwaliny sztuki europejskiej. Uderzenie, zadane już w XIX wie-

ku. Drugi cios spadł na sztukę tradycyjną w pierwszych trzydziestu latach naszego wieku. Cios zadany w obowiązujące dotychczas zasady jedności „rzeczy”, jedności „miejsca”, a przede wszystkim w

zasadę jednolitości tworzywa. Wprowadzenie do sztuki collage’u, unaocznilo, że dzieło sztuki zrodzić się może ze zlepków, czy „półproduktów” różnego rodzaju form, mających dotąd inne, niekoniecznie artystyczne przeznaczenie.

Od tego czasu wszystkie następne zmiany w sztuce, nie miały już tego znaczenia, tej rewolucyjnej siły, co tamte dwa wstrząsy. Są to — mówiąc dialektycznie — tylko zmiany ilościowe: zwiększają one asortyment form i środków,

ale nie wprowadzają nowych zasad budowania sztuki.

Podobnie też i sztuka graficzna Romana Cieślewicza, wyrosła i egzystuje na tym, bądź co bądź, dawno ugruntowanym podłożu. Bo, wobec czasów Duchampa, który w latach 20-tych naszego wieku burzył dotychczasowy system dzieła sztuki, dzisiejsze graficzne zmagania Cieślewicza, są skromne i niemal akademickie. Chciałoby się powiedzieć, że oto programowo rozchlestanty i rozczochrany wzorzec, ukazał się nagle publiczności w szarym garniturze i obowiązkowo białej koszuli.

Bo przecież „foto-grafika” Romana Cieślewicza, zbudowana na gruncie techniki collage’u i swobodnego układu montażowego planszy — jest zbyt elegancka i zbyt czysta kosmetycznie, by można ją było przyrównywać do drapieżnych fotomontaży, choćby tych z naszej rodzimej tradycji. Przedwojenne fotomontaże Szczuki czy Bermiana — nawet te abstrakcyjne — mają w sobie do dziś wielki ładunek ekspresji i osobliwej pasji, która pozostawiła takie piętno w polskiej sztuce nowoczesnej okresu międzywojennego.

Tymczasem w sztuce Cieślewicza wszystko jest dokładne i staranne; formy ekspresji — same w sobie zmysłowe i zróżnicowane — łagodniejszą jednak i błędną w układzie całej kompozycji. Nie są wolne od tej galanterijnej nieco układności i ilustracje do „Sklepowych cynamonowych” Bruno Schulza, choć może właśnie one najbardziej stanowią kontynuację najlepszych tradycji polskiego fotomontażu. Natomiast dzisiejsze prace graficzne Cieślewicza, wykonane już za granicą, gdzie artysta obecnie pracuje, mimo najlepszej techniki, mimo filtrów i rastrów — zmieniają swoją ostrość na okrucy aktualności, mody, tego co jest dziś, ale czego nie będzie już jutro.

Cieślewicz uprawia bowiem tę dziedzicząc artystycznej działalności, którą nazwalibyśmy sztuką towarzyszenia przeciętności. Taka jest przecież jej obiektywna funkcja poznawcza. Plakaty, grafika książkowa i żurnalowa, są dla Cieślewicza polem małych eksperymentów, nie za awangardowych, ale i nie epigońskich. Buduje te prace do powszechnego odbioru obrazy z tworzywa równie powszechnego. Oddbity fotograficznie, wycinki całej pozaartystycznej

ikonografii powiększone o możliwości nowoczesnej techniki fotograficznej i poligraficznej. Buduje je w taki sposób, że otrzymane obrazy nie mogą urazić niczyjego mniemania o nowoczesności, ale też nie są w stanie nikim wstrząsnąć, nikogo zdziwić, zaskoczyć.

Formalnie sztuce Cieślewicza nie można niczego zarzucić. Jest staranna, wypracowana, błyskotliwa, pomysłowa. Nie opiera się na sztampie, tak powszechnie obecnej w dzisiejszym świecie sztuki. Jest lapidarna, choć czasem rozmiąta się z precyzją informacji. Jest to więc sztuka na pewno poważna, oparta o solidny warsztat i autentyczny talent.

Tyle, że wymowa jej ma żywot sezonu. Wraz z zerwanym do ostatniej kartki kalendarzem, żółką plansze grafiki Cieślewicza. I nie ma na to rady, bo siła nośna tej sztuki nie ma w swojej istocie długiego oddechu. Oddechem jej jest aktualna moda w sztuce, tak przecież zmienna i tak efemeryczna w ostatnich latach.

* Roman Cieślewicz — „Foto-grafika”, Muzeum Sztuki w Łodzi, październik — listopad 1971 r.

Z przemówienia i sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka na VI Zjeździe partii w dniu 6 grudnia 1971 r.

Program badań naukowych należy uczynić integralną częścią strategii rozwoju społeczno-gospodarczego. Plany rozwoju naukowo-technicznego winny stanowić część wieloletnich planów społeczno-gospodarczych. Placówki naukowe i szkoły wyższe winny podejmować zadania badawcze wynikające z bieżących i perspektywicznych programów naszego rozwoju. Na realizację tych zadań państwo nasze przeznaczy wszystkie niezbędne środki. Usuwamy będziemy biurokratyczne wypaczenia, hamujące rozwój twórczej inicjatywy uczonych.

Potrzeby kraju każą przywiązywać szczególną wagę do badań naukowych w dziedzinie wykorzystania zasobów surowcowych kraju, inżynierii materiałowej i technologii, produkcji rolnej i gospodarki żywnościowej, organizacji pracy i ekonomiki. Będziemy popierać rozwój badań, które służą bezpośrednio człowiekowi, ochronie jego zdrowia oraz tworzeniu lepszych warunków pracy i wypoczynku. Liczymy na to, że kongres nauki polskiej, do którego przygotowania już zostały rozpoczęte, przybliży znacznie opracowanie długofalowego programu rozwoju nauki, odpowiadającego potrzebom kraju.

Podstawowym kryterium oceny pracy badawczej winien być pożytek, jaki przynosi ona krajowi. System ocen, kwalifikowania i awansowania pracowników nauki trzeba ściśle wiązać z konkretnymi rezultatami, osiąganymi w pracy badawczej i w kształceniu kadr oraz z udziałem w rozwiązywaniu naukowo-technicznych problemów gospodarki narodowej.

Postęp naukowo-techniczny w naszym kraju zależy w równym stopniu od właściwego ukierunkowania i osiągnięć polskiej nauki, jak i od inicjatywy załóg robotniczych. Postęp techniczny jest bowiem rezultatem zarówno wielkich innowacji, jak i tysięcy pozornie drobnych usprawnień. Najszerzą bazę postępu nauki i techniki stwarza oświata, którą będziemy intensywnie rozwijać na podstawie programu opracowywanego obecnie przez komitet ekspertów.

Cele społeczno-ekonomiczne, do których zmierzamy, są ambitne, zadania które wyznaczamy, są trudne. Mamy obiektywne możliwości osiągnięcia tych celów i wykonania tych zadań. Decydującymi warunkami realizacji zadań obecnego etapu budowy socjalizmu w naszym kraju są: podniesienie na wyższy poziom kie-

rowniczej roli partii, stałe umacnianie jej więzi z klasą robotniczą, ze wszystkimi ludźmi pracy; zasadnicza poprawa organizacji, kierowania i zarządzania oraz polepszenie pracy wszystkich organów i instytucji socjalistycznego państwa; wysoka ideeowość, świadomość zadań i obowiązków, dyscyplina i jedność działania w partii oraz w całym społeczeństwie.

Powinniśmy przyspieszać rozwój marksistowsko-leninowskich nauk społecznych; konsekwentnie prowadzić aktywną politykę kulturalną, sprzyjającą szerokiemu rozwojowi twórczości i wzbogacaniu socjalistycznej treści kultury polskiej; umacniać w całym naszym społeczeństwie patriotyczną dumę ze społecznego rozwoju Polski, z gospodarczego i kulturalnego dorobku naszego narodu w budowie socjalizmu. Będziemy zacieśniać więzi uczuciowe, łączące nas z naszymi rodakami za granicą, z patriotyczną Polonią.

Nowo wybrany Komitet Centralny stanie przed zadaniem wypracowania bardziej wszechstronnego programu pracy ideeowo-wychowawczej.

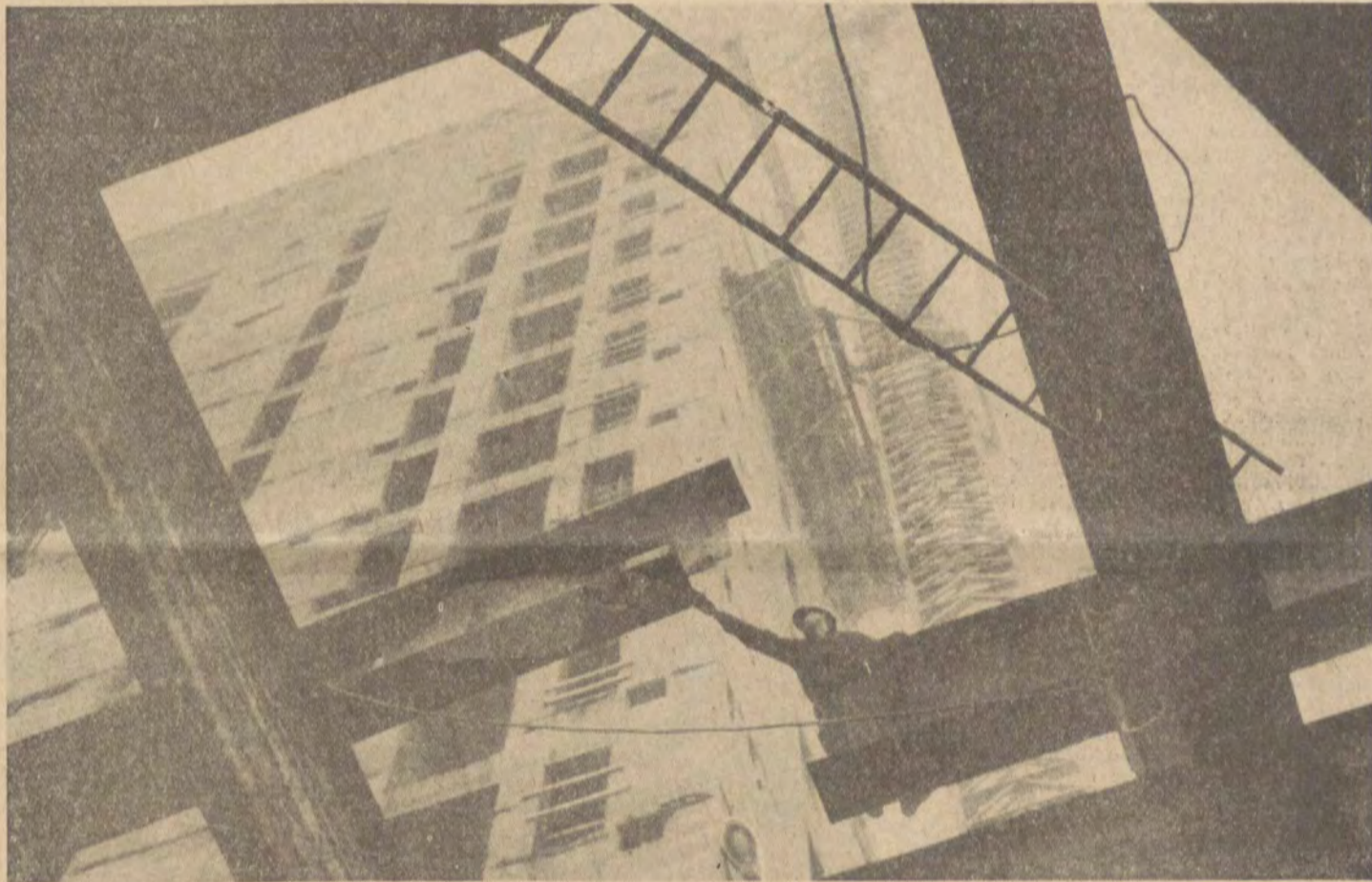
Nadchodzące lata wymagać będą od naszej partii i od całego naszego społeczeństwa wielkiego hartu ideeowego i mądro-

ści politycznej. Mamy za sobą trudne doświadczenia, mamy wielkie zobowiązania. Mówimy otwarcie — dotrymać kroku postępowi w drugiej połowie XX wieku, budować życie sprawiedliwe i dostatnie dla wszystkich, zapewnić bezpieczeństwo i pokojową przyszłość — to zespół zadań wymagających mobilizacji wszystkich sił narodu. Na miarę tych zadań musimy kształtować poglądy i postawy społeczne, hierarchię wartości i motywacje ideeowe.

Cenić najwyższe powinnismy rzetelną pracę. Jest to wartość największa, główne źródło postępu. Cenić więc powinniśmy myślenie kategoriami państwa, gospodarności, doskonalenie swych umiejętności, szacunek dla pracy i współdziałanie ze swoim kolektywem w realizacji programu partii. Te przykłoty i cechy ludzkich postaw manifestujące się w codziennym życiu mają wartość największą, są jedynym racjonalnym miernikiem ideeowości i patriotyzmu. Kształtowanie takich postaw w społeczeństwie to najważniejsze zadania prasy, książki, filmu i telewizji. Potrzebna jest uporczywa walka o wykorzystanie tej niepowtarzalnej szansy, jaką dał Polsce socjalizm, o dźwignięcie naszego kraju na wyższy szczebel rozwoju materialnego i równoczesne wzbogacenie wartości ideeowych i kulturalnych naszego narodu. Jest to walka o naszą godność i przyszłość. Jest to zarazem patriotyczna i socjalistyczna misja naukowców, twórców kultury, nauczycieli, dziennikarzy, całej inteligencji polskiej. Wymaga ona wielkich ambicji twórczych i marksistowsko-leninowskiej pryncypialności, śmiałego podejmowania problemów, które niesie ze sobą rozwój społeczny.

Dzięki socjalizmowi ojczyzna nasza zajęła wśród innych narodów takie miejsce, które gwarantuje jej niepodległość i bezpieczeństwo i stwarza wszelkie warunki wszechstronnego rozwoju. W całokształcie naszej polityki międzynarodowej kluczową rolę przypada braterskim stosunkom ze Związkiem Radzieckim. Stworzyły one historyczną szansę odbudowy państwa polskiego w sprawiedliwych i korzystnych granicach, trwałej, gwarantującej niepodległości i bezpieczeństwa narodu polskiego. Z umacnianiem przyjaźni, sojuszu i współpracy z ZSRR wiążemy przyszłość Polski.

Perspektywy dalszego rozwoju Polski, możliwość spełnienia podstawowych aspiracji naszego narodu, zwłaszcza młodego jego pokolenia, mają szansę pełnego urzeczywistnienia tylko w ramach współdziałania ze Związkiem Radzieckim i dzięki temu współdziałaniu. Jest to naczelna zasada naszej narodowej polityki. Realizujemy ją w klimacie przyjaźni i braterstwa narodu polskiego z narodem rosyjskim, ze wszystkimi narodami Kraju Rad! Z niezmiernie bogatego, twórczego dorobku XXIV Zjazdu KPZR korzystała nasza partia, wypracowując na obecny swój Zjazd program dalszego socjalistycznego rozwoju Polski.



Przedzjazdowa dyskusja nie zakończyła się wraz z Łódzką Konferencją Partijną. Jej kontynuacją były ubiegłotygodniowe konsultacje delegatów na VI Zjazd partii ze specjalistami z różnych środowisk. W kilkunastu zespołach mówiono między innymi o problemach budownictwa, komunikacji, zarządzania gospodarką, o sprawach socjalno-bytowych, pracy związków zawodowych, o problemach nauki, oświaty i kultury. Konsultacje te miały dostarczyć delegatom na VI Zjazd partii materiału do ich późniejszej pracy w 19 problemowych zespołach Zjazdu.

Na spotkaniu delegatów łódzkiego środowiska naukowego z przedstawicielami wyższych uczelni miałam okazję przysłuchiwać się dyskusji, koncentrującej się wokół spraw związanych z rozwojem nauki oraz perspektywami szkolnictwa wyższego. Problemy, o których mówili naukowcy, znajdują niewątpliwie odbicie w zjazdowej dyskusji. Zjazd określi kierunki dalszego rozwoju nauki, a przy wprowadzaniu ich w życie wypadnie jeszcze nie raz wracać do problemów i spraw, propozycji i wniosków, jakie zgłoszono na spotkaniu łódzkiej naukowców. Oto niektóre z nich.

ŁÓDŹ AKADEMICKA nie zajmuje właściwego miejsca na naukowej mapie kraju. Obecnie pod względem ilości studentów, kadry naukowej, bazy lokalowej i wy-

posażenia w aparaturę naukową znajdujemy się nie tylko za Warszawą i Krakowem, ale także za Wrocławem, Poznaniem i katowickim ośrodkiem akademickim. Potrzebne są więc szeroko pojęte inwestycje dla wyższych uczelni Łodzi. Konieczność ich rozbudowy wiąże się nie tylko z rozpoczętą modernizacją Łodzi i łódzkiej gospodarki, ale także z tym, że w Łodzi znajduje się centrum prze-

BOGDA MADEJ

Sprawy Łodzi akademickiej

mysłu włókienniczego, celulozowo-papierniczego i budowy maszyn włókienniczych, dla których łódzkie wyższe uczelnie powinny przygotowywać specjalistów, a także rozwiązywać wiele istotnych problemów technicznych i technologicznych. Szybki rozwój Łodzi akademickiej wymaga koncentracji nakładów finansowych i wysiłków, jako przeciwwieństwa obecnie panującego w tej dziedzinie rozdrobnienia.

REFORMA, którą ostatnio prze-

szły szkoły wyższe nie została doprowadzona do końca. Nie objęto nią np. pracowników administracji. Nie zwiększono liczby pracowników pomocniczych, przez co wielu naukowców musi się nadal zajmować sprawozdawczością i administrowaniem, mając coraz mniej czasu na pracę naukową i badawczą. Krótki okres działania wyższych uczelni po przeprowadzonej reformie pokazał już do-

czenie uczelniom możliwości regulowania dopływu młodej kadry naukowej zgodnie z istniejącymi potrzebami. Decyzja o pozostaniu na uczelni zdolnego absolwenta powinna przede wszystkim należeć do rektora.

W trosce o prawidłowy dopływ najzdolniejszych absolwentów do zakładów i katedr proponuje się również zmianę systemu stypendialnego. Powinna obowiązywać

zasada zwrotu stypendium pobieranego przez studenta. Zwolnieni od tego mogą być tylko studenci, którzy w czasie studiów osiągnęli najlepsze wyniki.

Przykładem innego powiązania nauki z praktyką może być propozycja, z jaką wystąpił naukowiec Akademii Medycznej. Postuluje on oddanie swoich klinik w administrację miejskiej służby zdrowia. Uczelnia zwolniona od administrowania szpitalami mogłaby znacznie więcej czasu poświęcić sprawom nauki i kształcenia przyszłych lekarzy. A naukowcy-lekarze mogliby skutecznie opiekować się całością miejskiej służby zdrowia.

Problemy poruszonych na spotkaniu było znacznie więcej i każdy z nich nadaje się do osobnego i szerszego omówienia. W trakcie konsultacji delegatów na VI Zjazd partii z naukowcami przedstawiono wiele konkretnych sposobów rozwiązywania omawianych spraw. W pracy przy realizacji uchwał Zjazdu będzie sposobność powracania do tych propozycji i wniosków.

WIELBICIELE TEMIDY

Nie odkryję Ameryki i nie ujawnię tajemnicy państwowej, jeśli zdradzę, że Łódzkie Zakłady Mięśne pobity rekord krajowy. Niestety, nie pod względem produkcji mięsa czy wędlin, lecz pod względem ilości procesów sądowych, jakie wytoczyły swoim pracownikom. Na przestrzeni tylko ostatnich trzech lat skierowały do sądu powiatowego 436 spraw, a do sądu wojewódzkiego — 52 sprawy. Wszystkie z powództwa cywilnego. Ogólna kwota roszczeń wyniosła niemal 19 milionów zł. Koszty postępowania sądowego opiewają na milion zł, nie licząc opłat dla biegłych, których wynagrodzenie wyniosło też niebagatelną sumę, równą wartości co najmniej dwu samochodów wysokiej klasy. O stratach moralnych nie wspomnę, ażeby nie być posądzonym o demonizowanie zjawiska. Można dodać tylko jeszcze straty spowodowane odrywaniem od pracy w zakładzie osób występujących na procesach w charakterze świadków. Zebrałoby się z tego kilkanaście tysięcy zmarnowanych godzin roboczych.

Nasuwa się w związku z tym myśl, może niezbyt odkrywcza, że procesy sądowe w tych zakładach opianowane są lepiej, niż procesy produkcyjne. Otóż okazuje się, że też nie, albowiem ilość spraw wytoczonych równa się prawie ilości spraw przegranych. Uczelnych pracowników to demoralizuje, nieuczelnych rozzułchwala. Sytuacja w zakładach stała się wręcz nienormalna. Kiedy ktoś z kierownictwa zwróci pracownikowi uwagę na uchybienie w pracy, wtedy słyszy odpowiedź: „Jak się nie podoba, to proszę mnie podać do sądu”.

Z prostej ciekawości udałem się kiedyś na taką rozprawę. Toczyła się w atmosferze całkiem familiarnej. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że uczestniczą raczej w farsie, najbardziej zaś rozbawiony był tym wydarzeniem sam oskarżony, przeproszam, pozwany. Był to, bodajże, magazynier. Z dziecinną łatwością udowodnił, że niedobory w jego magazynie powstały z przyczyn od niego niezależnych, a więc obiektywnych. Doświadczenie uczy nas, że okoliczności obiektywne sprzyjają ukrywaniu całkiem subiektywnych, rzeczywistych przestępstw. Repertuar tych przyczyn obiektywnych jest w zakładach stały i niezmienny. A więc zła organizacja pracy, zbyt ciasny magazyn, niewłaściwa temperatura, nieprawidłowe zabezpieczenie, za duża przepustowość itp.

Sąd, w całym swym majestacie prawa, oddała prawie wszystkie powództwa, towarzystwo rozchodzi się w zgodzie i harmonii, z pełną świadomością, że brało udział w jeszcze jednej, monstrualnej fikcji. Fikcja ta trwa niezmiennie już od wielu lat. Dyrekcja zakładów zdobywa niejako masowo podkładki, by w razie kontroli być całkiem w porządku. Tylko wobec kogo? Kontroli tych, przyznać trzeba, jest sporo, jako że do pouczenia i kontrolowania działalności Zakładów Mięśnych uprawnionych i upoważnionych jest aż szesnaście przeróżnych instytucji.

Istnieje dość rozpowszechniony pogląd, że o takie podkładki najgorliwiej starają się tehcórzliwi kierownicy i dyrektorzy przedsiębiorstw. Wynikałoby z tego, że dyrektor Łódzkich Zakładów Mięśnych jest z nich wszystkich najtehcórzliwszy. Nie

błędniejszego pod słońcem. Osobiście uważam, że jest on jednym z najodważniejszych dyrektorów w naszym mieście. Gdyby bowiem ten uproszczony pogląd był prawdziwy, to nic łatwiejszego, niż postawić na stanowisko dyrektora w tych zakładach człowieka niezłomnego i dzielnego, a procesy ustąpiłyby jak ręką odjął. Tymczasem dyrektorzy się zmieniają, a procesy trwają nadal. Kierowanie przez zakłady wszystkich spraw do sądu nie jest więc chyba wynikiem wygodnictwa i asekurantstwa ludzi, lecz jest wyrazem obowiązujących przepisów. Dyrekcja zakładów musi tak czynić. Zaś dowodem tego, że w sprawach tych wcale nie chodzi o wyegzekwowanie roszczeń od pracowników, jest fakt, że dyrekcja nie wnosi w ogóle rewizji od wyroków, nie odwołuje się, wprost przeciwnie, przyjmuje je z pełną pokorą, ustępliwością i łagodną determinacją. Po prostu widocznie dlatego, że kierownictwo nie jest w pełni przekonane o swej racji. I o cudzej winie. Robią to, czego wymagają od nich przepisy. Wprowadzono nawet premie dla magazynierów, wagowych i fakturzystów, ustanowiono solidarną odpowiedzialność materialną wszystkich pracowników na stanowiskach ekspedycyjnych, zastosowano pojemniki metalowe do transportu wędlin i mięsa, jeden duży magazyn podzielono na pięć oddzielnych, małych magazynów, a zamiast trzech, zatrudniono obecnie jedenastu magazynierów. I nic to nie pomaga.

W tym roku, na przestrzeni zaledwie pięciu miesięcy tj. od 1 kwietnia do 31 sierpnia, znów skierowano do sądu ponad 80 spraw.

A sąd? Sąd rozstrzyga na podstawie dowodów mu przedstawionych. Dla sądu nie ma racji ten, kto nie potrafi winy udowodnić. Zakłady nie potrafią. Muszą więc ponosić koszty. Nie dość, że ponoszą straty z powodu niedoborów, to jeszcze dochodzą do tego straty w sądzie. Może więc normy ubytków są niewłaściwe? Zakład wystąpił z projektem nowelizacji tych norm, lecz bez większego rezultatu.

Prezes Sądu Wojewódzkiego dla m. Łodzi, J. Gawroński, zniecierpliwiony tą sytuacją, zmęczony zamulaniem wokandy sądowej procesami, które do niczego i do nikąd nie prowadzą, śle na wszystkie strony noty służbowe, lecz skutków tego również na razie nie widać.

Ostatnio, z inicjatywy łódzkich sędziów, odbyło się spotkanie wszystkich zainteresowanych stron. Zasiadli przy wspólnym stole obrad sędziowie i dyrektorzy, radcy prawni i prokuratorzy. Słuchałem tej narady z mieszanymi uczuciami. Każdy z uczestników (a byli to ludzie maksymalnie dobrej woli) usiłował udowodnić, że procesy te trwają nie z jego winy, i, co najciekawsze, trzeba to było przyjąć do wiadomości jako, że wszyscy posługiwali się argumentami racjonalnymi i w stu procentach przekonującymi. Najrozsądniej postąpił chyba prokurator, który stwierdził, że Prokuratura przestanie w ogóle wysyłać na te rozprawy swoich przedstawicieli. I słusznie, szkoda prokuratorskiego czasu i powagi.

Ba, prokuratorom to dobrze, lecz sędziowie chcą, czy nie chcą, muszą brać udział w farsach, które podrywają w gruncie rzeczy autorytet tej poważnej in-



Fot. O. Bleylova

stytucji i deprecjonują wyroki. Sąd, niestety, nie może pozwolić sobie na lekkomyślne oddalenie, czy umorzenie sprawy bez dokładnego jej rozpatrzenia. Chyba, że nie zostały dopełnione formalności — wówczas można sprawy nie przyjąć. Zdarza się to jednak rzadko, gdyż radcy prawni zakładów pracują skrupulatnie.

Mamy tu więc do czynienia z pospolitym nadużywaniem powagi sądu przez wszędobylską biurokrację. Jednakże na wojewódzkim szczeblu nie da się rozwią-

zać tego gordyjskiego węzła. Jako, że zostałem wychowany w atmosferze poszanowania prawa i sprawiedliwości, nie tylko społecznej, irytuje mnie ta ogólna niemówność, to pieniactwo za państwowe pieniądze. Ktoś urzędują z sądu cyrk i kpinny, nie ważne zresztą, czy będzie to Sąd Powiatowy, czy Sąd Wojewódzki, czy nawet Sąd Ostateczny.

Mam nadzieję, że odpowiednie władze centralne położą wreszcie kres tej nienormalnej sytuacji.

KONRAD TUROWSKI

„...była to miłość
na śmierć”

„KOCHANI MOI!

Daremno to chyba będzie trud wyjaśnić Wam dlaczego postanowiłem się aż tak daleko, aby na zawsze pograć się w tej ciemnej otchłani, do której Wy także, niestety, się zbliżacie. Już blisko od roku dręczą mnie myśli dotyczące sensu życia, jego celu. Nie znajduje nie co mogłoby mnie pocieszyć, utrwalił w przekonaniu, że warto podjąć ten trud istnienia.

Ile milionów ludzi wyobraża sobie, że są indywidualistami, czymś godniejszym samego siebie, wyrastającymi nad przeciętność. W gruncie rzeczy są po prostu tylko marnym elementem tej żywej masy.

Dla kogo człowiek ma żyć? Mam Waszym wzorem pędzić ten drobno-mieszczański żywotek, ożenić się z kobietą, którą mi los podsunął, którą spotkałem przypadkowo? Później spłodzić dwoje gówniarzy, których będę musiał wychowywać i doczekać się starości, która nie jest nagrodą za to, cośmy zrobili dla dzieci, ale jest okrutną karą. Bo starość zabiera nam wszystko — urodę, zdrowie, całą inteligencję, nawet wspomnienia.

Dzisiaj ostatni raz będziemy ze sobą. Okropnie dziwne może się to wydać, ale jestem przekonany, że dotrzymam sobie danego słowa. Ukochana dziewczyna, z którą spędziłem cudne dwa lata, pójdzie razem ze mną drogą, którą samiśmy obrali.

Jestem ciekaw jak będzie Wam smakował szampan, który rozlejemy do kieliszków. Wypijcie nasze zdrowie, a będziemy Wam wdzięczni. Wielka szkoda, że nie będę mógł Wam nie powiedzieć, a w szczególności tego jak bardzo jestem szczęśliwy. Będę leżał w spokoju, pełen kontemplacji, razem z moją wybranką serca. Nigdy nie wyobrazicie sobie, ile przepięknych chwil spędziłem ze sobą, mimo tego, że klóciłem się nie raz. Byliśmy pewni jednego — że nikt nie jest w stanie nas rozłączyć, ponieważ plan, który zrealizowaliśmy ułożyliśmy prawie rok temu.

Kończę, bo muszę przygotować kabin. Dobrze, że niczego się nie spodziewacie. Powiem, że jadę do Poznania. Zanim przyjdzie czas mego powrotu, dostaniecie telegram.

Wbrew wszystkiemu co się widzi i słyszy, zdarza się raz na ileś tam

milionów, miłość na śmierć i życie. Tym razem była to miłość na śmierć...

Janusz”.

Słowa te pisał 20-letni chłopak na krótko przedtem nim zastrzelił swoją dziewczynę, a następnie sobie odebrał życie. Wypełnił nimi pierwsze stronicie między wierszami drugiego tomu („W cieniu zakwitających dziewcząt”) Marcellego Prousta. Zdają się stanowić nie tyle rodzaj testamentu, co wykładnię straszliwej filozofii, wynikającej z młodzieńczej niedojrzałości. Można by skwitować ją uśmiechem pobłażania i wyrozumiałości, gdyby nie tragiczny finał, do którego doprowadziła.

Książkę z tym przerażającym tekstem znalazł w skrytce bidermajerowskiego biurka, w pokoju Krystyny, gdzie rozegrał się ostatni akt miłości dwojga młodych ludzi. Janusz wybrał ten tom nieprzypadkowo. Wziął go z biblioteki Krystyny. Miał w N., w domu swoich rodziców, gdzie pisał swoje ostatnie wyznania.

W Mostaganem odbywał się akurat Festiwal Sztuk Rewolucyjnych i białe, nadbrzeżne, wychłostane słońcem miasto przewodziło na myśl karnawałową bombonierkę. Wszędzie powiewały flagi i transparenty, a na murach rozlepiono dużo plakatów, które przemieszały się z powielonymi w setkach egzemplarzy twarzami prezydenta Bumediena. Właściwie trudno powiedzieć, czy Bumedien, człowiek o krótkich, najeżonych włosach, uśmiechał się na tych zdjęciach, czy był to raczej grymas lekkiej, dobrotliwej zadumy, ale nie ulega wątpliwości, że jego twarz wypadła okazale na tle innych, odpowiednio pomniejszonych, przyklejonych tu i ówdzie do ściany członków Rady Rewolucyjnej.

Przez kilka dni Mostagańczycy ubierali się odświętnie. Niektórzy wkładali nawet pod wieczór marynarki, co przy tamtejszych upałach jest raczej zabieganiem samobójczym. Widać było, że smakują fiestę nie gorzej, niż mieszkańcy Opola i Sopotu w chwili, kiedy pęka tam bania z piosenką. Przeglądali się z niemym nabożeństwem aktorom, spacerującym po mieście w paradnych strojach. Wytykali palcami funkcjonariuszy prasy, radia i telewizji, którzy zjechali się licznie.

Aktorzy byli niesłychanie zarozumieli (nie podchodź, bo kopnę), a uzbrojeni w nowoczesny sprzęt dziennikarzy swingowali z godnością przynależną swojej profesji. Idący skrajem chodnika fotoreporter raz po raz składał się do strzału, więc chmara bosonogich chłopaków próbowała ściągnąć na siebie czarodziejską gałę obiektywu. Podskakiwali, wymachiwali rękami, a typ z fleszem był zadowolony i prowokował ich lekko. W chwili jednak, gdy kilku wzięło na śmiałość i otoczyło go ze wszystkich stron, napraszając się o zdjęcie, podniósł taki wrzask, jakby nagłe jakiś świętokradca wtarabanił się bezczelnie w butach do meczetu. Przylecieli policjanci i zaczęli rozglądać się czujnie. Fotoreporter był czerwony z oburzenia i wskazywał im bramy, gdzie ukryli się jego urojeni ciemniecy. Odbyła się długa, dwudziestominutowa narada, podczas której policjanci marszczyli brwi, usiłując wnikać w sedno zagadnienia, natomiast fotoreporter udawał im sugestywne, że w takich okolicznościach nie ma, niestety, odpowiednich warunków do pracy.

A przecież miasto chciało przede wszystkim zabawy. Obok Festiwalu było wiele zaimprovizowanych na gorąco imprez towarzyszących. W restauracjach i kafejkach śpiewali na głosy pogodni przybysze z gór, ulicami nieprzerwanie maszerowali weterani rewolucji, dostosowując krok do rytmicznej,

Korespondencja z Algierii

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Karnawał samopałów

robionej na trąbkach, fujarkach i bębnach muzyki, z placów niósł się zgiełk biesiadujących tłumów, które do późnej nocy koczowały pod gołym niebem, tańcząc, jedząc i pijąc, wznosząc okrzyki na cześć blogosławiennej wolności. Na dodatek Festiwal zbiegał się z nawalem ślubów, z których każdy, jak już wcześniej pisałem, potrafi przynajmniej na dziesięć minut znokautować miasto kakofonią przeróżnych samochodowych klaksonów. Nie zabrakło również uroczystości obrzezania. Podszedł do mnie Polak umięjący błyskawicznie nawiazywać znajomości i przekazał mi w imieniu rodziny zaproszenie na tę uroczystość.

— Nie pójdę — powiedziałem.
— Dlaczego?
— Nie mam nerwów.
— To nie jest wcale takie straszne. Krótki ruch brzytwą i brzdąc zostaje pasowany na mężczyznę.
— I nie wolno mu płakać.
— Aha. Leez najczęściej płacze, i, póki co, czepia się matczynej ręki.
— A mężczyźni mówią: wstyd, nie jesteś już dzieckiem, skończyłeś przecież sześć lat i od dziś należysz do nas.
— I gnojek robi wszystko, aby zapanować nad strachem. Zielska zęby i uśmiecha się przez łzy.
— A jego ojciec jest dumny jak paw i zaprasza gości do stołu.
— I to jest jedno z najważniejszych świąt w życiu rodziny.
— Zgadza się. Dużo ważniejsze od ślubów. I prawie tak ważne, jak święto barana.
— Baran nie należy przecież do rodziny.
— Z początku należy. Biorą go do domu, kiedy jest jeszcze maleńki — taka biała wulfiasta kuleczka. Dają mu najlepsze kąski. Jest głaskany, całowany, szcztokowany, a jak nabrudzi, to nikt się na niego nie gniewa i zostaje momentalnie wykapany.
— Lepiej ma, jak niektóre dzieci.
— Lepiej. Ale do czasu.
— Bo nadchodzi wreszcie dzień świąteczny.
— I ktoś rozpruwa mu brzuch.

— I zaczyna się orgia. Rodzina, nie wyłączając dzieci, nurza palce w jego krwi, ociera je sobie o twarz, a także o inne części ciała...
— I wszyscy wyglądają jak pomazani farbą Indianie. Tańcza, śpiewają, wznoszą radosne okrzyki. A potem biorą się za inne, młode i stare barany: tłuką je, odzierają ze skór, prażą na rusztach i jedzą, jedzą, jedzą...
— Czy jest to barbarzyński obyczaj?
— Trudno powiedzieć. Przecież na całym świecie są rzecznice i na każdej polskiej wsi dzień w dzień zarzynają się jakiegoś stworzenie.
— Ale nikt nie babrze się z łobuzostwem w krwi.

— Zgoda. Jednak Arab kocha na co dzień swoje zwierzęta. Nie znęca się nad krowami, nie zamęcza osła, a świniny w ogóle nie bierze do ust. Widziałem kiedyś w Algierii bat w ręku woźnicy, albo ostrogi na nogach jeźdźcy? I przypomnij sobie na wszelki wypadek naszych polskich furmanów...

Jedna z mostagańskich ulic — przystrojona suto lampionami, które zapalały się o zmierzchu — nieomylnie wytyczała drogę do amfiteatru na rogatkach miasta. Idąc tam, miałem piąszczyście skwery, na których, otoczeni ludzką ciżbą, spoczywali w cieniu drzew przy rozchybotanych stolkach kombatanci w zniszczonych, napawających szacunkiem mundurach. W owym czasie Algieria obchodziła wiele związanych z ostatnią wojną uroczystości. We wszystkich większych miastach odbywały się na głównych ulicach demonstracje partyzantów. Na cześć poległych wyły fabryczne syreny, a na rzecz tych, co przetrwali, JFLN (Młodzież Frontu Wyzwolenia Narodowego — organizacja polityczna, będąca tak zwanym przedłużeniem partii (FLN) na młodzież) zbierała datki w postaci pieniędzy, ubrania i żywności. Los tych okaleczonych, schorowanych weteranów jest niejednokrotnie ciężki. Nie mają pracy, nie mają rodzin, które wymordowali Francuzi: ich zasługi z każdym rokiem bledną, albo całkowicie

ulegają zapomnieniu. Stąd właśnie potrzeba tych świąt i demonstracji, mających przypominać narodo- wi, że za dzisiejszą wolność i względny dobrobyt, ktoś zapłacił przecież nie tak dawno wysoką cenę.

W przekrzywionych czapkach, z papierosami w ustach, z opartymi o blat stolików kulami — roztaezali przed tłumem barwy, wodzenie opowieści. Był wśród nich żołnierz, który walczył w kazbie Algieru, na tych najwęższych w świecie, kilkunastocentymetrowych uliczkach, przez które trzeba przejsnąć się bokiem i które ni stąd ni zowąd wdzierają się wprost do ubogich, przypominających pieczary mieszkań. Kiedy wpadały tam francuskie patrole, na krzesłach i barlogach siedzieli spokojnie partyzanci w kobiecych strojach: zakwefione twarze, spowite do stóp białą melal nieruchome sylwetki. Ale pod tą białą kryła się broń. Polyskujące przez szpary woalu czarne oczy wpatrywały się nienawistnie w oasowców i nagle otwierały się na pierśiach obszerne zwoje płót, a echo strzałów, niosące się po całej dzielnicy, było rekiem dla Francuzów i pieśnią zwycięstwa dla mężnej Algierii. Może to zresztą nie było takie proste, wygladzone przez czas i — jak każda historia czy opowieść — obtoczone przez nieskończoną ilość powtórzeń. Nieraz brat walczył przeciw bratu, nieraz zgiełk

strzałów ginał bez echa wśród gór, albo na piaszczystym. W każdym razie ci na skwerach Mostaganem mieli oczy zasnutę wspomnieniami, a na kolanach trzymali samopaly. Były to najróżniejsze, wielkie i małe, wycyzkowane na glans, ale i porzewiałe karabiny, najwięcej jednakże widziałem garlaczę o potężnych, wiśniowych, porżniętych w esy-floresy kolbach, grubych i krótkich, bardzo szerokiach u wylotu i osmolonych prochem lufach, porzewiałych, zacinających się zamkach. I to było tak, że jak partyzanci przerywali wspomnienia, to od razu zaczynał śpiewać, do czego przyłącza- li się niektórzy cywile oraz grajkowie — ten od piszczałki i ten od bębnow. A jak kończyła się zwrotka, to partyzanci wnosili w górę garlaczę i dawali ognia z kilkunastu luf. Po każdej takiej salwie słuchacze dostawali niebawego gazu i też przyłącza- li się do śpiewających, wybijając rytm nogami i na wszystkie inne sposoby, a ja zastanawiałem się uparcie, czy w garlaczach są ostre kule, czy tylko sponki i czy przypadkiem nie postrzelą jakiegoś człowieka.

— Jesteś osioł — powiedział na to mój znajomy.
— Ponieważ... chciałem, zaczął mnie pocieszać.
— Nie martw się, ja już to dzisiaj dwa razy styszałem.
— Ze jesteś osiem?
— Aha.
— Więc ja ci to mówię po raz trzeci.
— Wcale mnie nie dotknął — powiedział. A ja mu wtedy: — Bo nie znasz pewnie odpowiedniego przysłowia.
— Arabskie?
— Arabskie.
— No, to wal.

— Jak powie ci ktoś, że jesteś osiem, w ogóle się tym nie przejmuj. Jak usłyszysz to po raz drugi, też puść to w zapomnienie. Ale jeśli ktoś nazwie cię osiem po raz trzeci, to idź z miejsca kup sobie siano!

— Dobra — powiedział. I poszedł. Ale nie na siano. Na piwo.

Ja tymczasem doszedłem do kresu oświetlonej lampionami drogi. Najpierw zobaczyłem tłumy ludzi, którzy klebili się pod bramą bez biletów, a potem siorowałem ciasny szpaler cerberów i znalazłem się w „amfiteatrze”, który na co dzień, czy też raczej na niedziele i święta, jest stadionem piłkarskim o czerwonej, tenisowej, pozbawionej żdźbła trawy nawierzchni. Piłka nożna cieszy się w tym kraju wielkim powodzeniem. Poważniejsze mecze potrafią przyciągnąć wszelkie inne, narodowe, kościelne i rodzinne imprezy. Zapalonym piłkarzem był kiedyś Ben Bella, który — jak pisze Kapuściński — często między pracą nad dekretnami a posiedzeniem Biura Politycznego jechał na bol-



Fot. A. Wach

Dalszy ciąg na str. 9

Przywiózł do Łodzi w walizce, obok sztucera zabranego ojcu...

Wszystko było obmyślane w najdrobniejszych szczegółach. Nawet telefon był tak uszkodzony, że dopiero specjalista zdołał go naprawić. Do ostatniej chwili oboje zachowywali się najzupełniej normalnie, nie wzbudzając żadnym słowem, czy gestem jakiegokolwiek podejrzeń ze strony najbliższego otoczenia.

Poznali się jesienią 1969 roku. Janusz zobaczył Krystynę w tramwaju. Gdy wysiadła na przystanku poszedł za nią, aż do drzwi jej domu. Odczekał chwilę, zapukał, a gdy mu otworzyła, zagadnął: — Czy mógłbym dostać szklankę gorącej herbaty, bo dziś tak zimno na dworze...
Dziewczyna wpuściła go do mieszkania.

Przyjechał na studia medyczne z innego miasta. Tutaj właściwie był sam. Wyszedł z domu spod twardej ręki ojca. Teraz czuł się dorosły i samodzielny.

Ona mieszkała z rodzicami w parterowej willi. Była starsza od

niego o dwa lata. Miała własne grono koleżanek i kolegów, w większości ludzi, którzy już pracowali, pochodzili z zamożnych domów. Najpierw pomagała ojcu który prowadzi własny zakład rzemieślniczy. Później podjęła pracę. Przełożeni bardzo ją chwalili za sumienność i pracowitość. W zeszłym roku zdała na studia zaoczne UL.

Nikt nie wątpił, że kochają się. Gdy nie widzieli się dzień lub dwa pisali do siebie listy. Rodzice Krystyny bardzo polubili Janusza. Był przystojny i wysportowany. Zawsze potrafił się grzecznie zachować. Okazywał troskę o ich córkę. Chętnie widzieli go we własnym domu. Oboje traktowali jak dorosłych ludzi. Nie wtrącali się do ich spraw. Starali się aby Krystyna w swoim pokoju czuła się jego jedyną gospodynią.

Obok książki Marceliego Prousta w skrytce bidermajerowskiego biurka zostało trzydzieści listów Janusza do Krystyny i pięć li-

stów pisanych przez Krystynę do Janusza.

Oto niektóre z nich:

„CZESC KRYSKA!”

Bardzo mi się podoba Twój list. Nawet nie wiesz jak bardzo lubię ten styl pisania, pełen niedomówień, zawierający właściwą treść między linijkami. Sytuacja między nami jest niewyjaśniona a właściwie nie wiadomo jaka — raz zachowujemy się jak starzy kochankowie, obejmujemy swoje młode ciała, raz stajemy się zimni i opanowani, zważający na bliźni. Z pewnością za mało znaczą dla Ciebie abym mógł w małej tylko części zastąpić Ciebie świat, z którym się żyłaś. Dziewczyny o Twoim pokroju są nieszczęśliwe. Ten fakt, że nie wierzysz w miłość jest okropnością. Dlaczego tak uważam? Naprawdę nie wiem. Tobie jest potrzebne prawdziwe uczucie nieskażone natętem manierowania, wyracowania i czystego seksu. Chciałbym widzieć jak serce Twoje tonie powoli, jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki miłości. Wiem i mogę to z odpowiedzialnością napisać Tobie, że oddałbym wszystko,

przyjaciół, swoje przyzwyczajenia, aby prawdziwie się zakochać. Kiedyś byłem podobny do Ciebie — nie wierzyłem w uczucie a za szczyt tego co łączy dwoje młodych ludzi uważałem łóżko. Lubilem jadać słodkie ciastka jedno po drugim. I wreszcie mnie to zaudziło. A jak już przejrzałem, uwierzyłem i zakochałem się. Może Ty także chcesz zakochać się? Jesteś tajemnicza, do tej pory nie wiem jaka jesteś naprawdę. Może to jest dobre a może złe. Gdy mnie całujesz nie wiem co myślisz. Twój uśmiech jest smutny. Czekam na Twój gest. Czyż rozważnie, abyś się nie rozczarowała. Dziewczyny nigdy nie należy brać siła. Jeśli zechce, sama przyjdzie. Co Ty na to?

Janusz

PS. Przepraszam za pismo i błędy ale jest godz. I w nocy.

„DEAR JANUSZKU!”

Dostałam się na prawo!!! (sic!). Nawet się nie domyślasz, że swój sukces zawdzięczam Tobie (oczywiście!) ale l., „usztakowi”. Miałam go na egzaminie pisanym, siadł przede mną na ławce. Na usztywnym ścisłałam go tak

moeno, że mało by nie pękl. Ustny poszedł mi konkursowo. Na trzecie pytanie z historii nawet nie kazali odpowiadać.

Ja sama się dziwię, że tak łatwo mi poszło. Chyba dlatego, że tak mało waży i czasu przywiązywałam do tego, a więcej uwagi poświęcałam Tobie. I dalej poświęcam. Teraz powiedziałam już wszystko. Jak na spowiedzi. Czekam na long, long list. Całuję jeszcze raz.

Krystyna

KOCHANY KRYSIKU!

Jeżeli zależymy pomyślnie Ty pierwszy, ja drugi rok studiów to chciałbym Tobie coś zaproponować. Będziemy mieszkali razem u Ciebie. Rodzice obiecał mi 1.500 zł miesięcznie. Chyba to wystarczy jak na razie. Można chyba razem się uczyć, razem zdawać egzaminy. Byłoby wspaniale! Tak chciałbym zacząć wszystko z Tobą od nowa. Nowe właśnie w ten sposób — rano podwórka, mała gimnastyka, śniadanie i na zajęcia. Każde w swoją

Dalszy ciąg na str. 8

Wiersze Maksima Tanka

Przełożył: JAN HUSZCZA

Styks

Oto rzeka,
Która płynie przez życie.
Powolna, płytka,
Wszyscy przechodzą ją w bród.
Nie jest szeroka,
Ale, choć tyle razy wołałem,
Nikt z tamtego brzegu
Nie odpowiada,
Nawet ci,
Którzy ją przeszli,
Żeby zbadać,
O co chodzi.

Łódki nad Naroczą

Po wybraniu czerpakiem zapachu wodorostów,
Radości rybackich sukcesów i goryczy niepowodzeń,
Przed nadejściem zimy wyciągamy
Nasze łódki na brzeg.
W przewrócone osmołowanym dnem
Stuka jesienny deszcz,
Deszcz jak rozpryski szrapnela
Albo jak grad kul,
Który sieki je podczas
Partyzanckich przepraw.

To może dlatego w niepogody
Często przychodzimy na brzeg,
Aby sprawdzić:
Krwiań ociekają nasze łodzie
Czy tylko deszczem?



Z opowiadań staruszeki

Sam wiesz, synku, jaka u nas ziemiczka:
Kamień na kamieniu,
karcz przy karczu.
No i kiedy przejeżdża prorok Eliasz —
Czy to w dzień, czy to w nocy —
Wiadomo, że zawsze o coś zawadzi...
Och, i grzmi wtedy gromem,
Och, i podcina swoje konie
Deszczem — batem,
Och, i chłoszcze je popręgą — błyskawicą,
Och, i wali po nich szleją — tęczę!
Aż zaczynam się modlić,
Żeby prędzej na swojej dwukółce
Wyjechał z naszego stoła.



Świat, który zamieszkujemy — nie należy do nas.
Już dawno zakochani porozdawali go
Swoim Dulcyneom i Julietom.

Chodzę po ziemi,
Nosząc głowę, pełną pieśni,
I nie domyślałem się, nie wiem,
Ze może i ją ktoś obiecał
Podarować jakiejś Salome.

Głos

Głos nieznajomy może zdziwić mile,
Głos przyjaciela — zatrzymać na chwilę,
Głos ukochanej — ogrzać słońcem lata,
Głos matki — zawrócić z tamtego świata.



Czasem, przy butelce piwa,
Przeoglądam książkę zażaleń,
Interesująca lektura.
Poczytajcie!

Wiele w niej słusznych uwag i skarg,
Na które trzeba nastawić ucha.
Ale dużo i takich, z których wynika,
Ze ich autorem zawczasu
Socjalizm podano
na półmisku.



Ziemio!
Zawsze drwiłaś
Z pochwalnych mów,
Z zaklęć — „na zawsze zostanie w naszej pamięci”,
Nawet z napisów na granitowych płytach.

Czemuś tedy nie nauczyła mnie —
Swoją garść piasku —
Milczenia?

Szklany człowiek

W muzeum stoi człowiek ze szkła.
Kiedy w nim zapalić elektryczne światło,
Widać wszystko aż po najmniejszą żyłkę
W głowie,

w piersi,
w sercu...

Profesor, ze wskazówką w rękę, wyjaśnia
Funkcjonowanie każdego organu,
Potem zaś pyta:

— Czy wszystko rozumiałe?

— Profesorze!

Przeżyłem nieszczęścia swojej ziemi,
Znam tragedię Hiroszimy,
Widziałem Oświęcim,
słyszałem dzwon Buchenwaldu,
Gdzie w człowieku mieszczą się ciemności?



MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN

Skąd tu nitka babiego lata

Stoję przy korycie obitym blachą. W
miejscu gdzie wbite są gwoździe
blacha jest wklęsła. Lebkę porzede-
wiałe. Drobną żelazną kratką. Kobieta w
białym fartuchu śledzi moje ręce. Doty-
ka skóry mokrymi galkami oczu. Chcę
ukryć ręce, podciągając je w rękawy ma-
rynarki, ale kobieta jest czujna, przechyliła
głowę, udaje, że tak jej z tą pochyloną
głową wygodnie, ale przecież wiem, iż
nie o to chodzi, ona mnie w dalszym cią-
gu śledzi, nie spuszcza oka z moich rąk,
pilnuje moich dziesięciu palców, ona do-
brze wie co takie palce, dłoń taka może
narobić, więc musi tej ręki pilnować,
strzec jak źrenicy oka, ona stoi na stra-
ży, a właśnie moja ręka jest największym
groźnym wrogiem, dlatego ona nigdy nie
spocznie choćby ta ręka uciekła przed nią
na koniec świata, bo i tam na końcu
świata jest jakiś mur, potrzask, pułapka,
na coś takiego trzeba liczyć i nie wolno
tracić wiary, wszystko wreszcie kończy
się murem nawet słońce, coś dopiero ja-
kiś kawałek przestrzeni kraju czy konty-
nentu, a pod takim murem ręka musi się
czuć jak osaczony szczer i się nie wy-
mknie, bo dalej jest już tylko niebo, bez-
kres anielskich skrzydeł i gwiazd.

W korycie wyścielonym cynową blachą
leży mięso. Przekrwione platy wołowiny.
Żebra obrosłe białym tłuszczem. Za celo-
fanem spleśnionym blaszkami, różowe płuca
bez powietrza.

Wysunąłem z norek ręce. Wyjąłem z
koryta przerosłe warstwą słoniny żebra.
Wpychałem palce w mięso. Macam. Wyczu-
wam nierówności żebra. Na celofanie
skrzy się mój pot. Kładę żebra na dnie
drucianego koszyka. Ustawiam się w ko-
lejce.

Skąd tu nitka babiego lata?
Skąd promień śród krwi?

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Pacyfikacja

Ta wioska spadała jak dzika stara kac-
ka ze złamanym skrzydłem między las na
półkę z piasku. Zytynie żdźbła tu na wy-
sokość trawy wyliniałej, lubin wypuszcza
dwa, trzy listki i ustaje w skoku w górę
kępką kwiatu nie większą od kwiatu ko-
niczyni. Ziemiaki z ziemi małe jak ka-
myki albo wróble jajka.

A jednak nadludzie z rasy panów tę
wioskę — biedulę jednego majowego dnia
o świecie odnaleźli.

Z podpalonych chałup wybiegły tylko
nie ubrane, słomiane jak strzechy kobie-
ty i bachory i spędziły gromadę sietniaków
pod kaplicę do sadzawki nie było trudno
przy posiłku luf od ognia rozżarzonych.

Woda była zimna i stopy dzieci tonęły
w mule na dnie. Zapach i płacz szuwaru
z brzegu mieszał się jeszcze przez chwilę
żyjącym ze smrodem i płaczem dymu.

Sadzawkę bombardowało pięciu tylko
SS-manów, ale co to był za widok!

Odchodzili kaszląc i krztusząc się od
dymu skrwawionego i gorzkiego. Samo-
chody podjechały pod kapliczkę.

Teraz pierwsze liście o pierwszej cięż-
kiej zieleni zwisały z kasztanu jak mięso
w jatce w pewnym niewielkim miastecz-
ku nad Renem. Wśród nich kwiaty białe
różowiły się jak stroje kobiet Krety z pra-
prahistorycznej Grecji. Kapitan powie-
dział to na głos, rozpinając płaszcz zielo-
ny. Nachylając się przez płotek nad grząd-
kę, należąca do kaplicy, krew z ręki ocie-
rał o rozpachniały bielutki narcyz. Nar-
cycz — powiedział — utopił się nieprzy-
tomnie, nachylony w rzece nad nagą
pięknością swojego młodego ciała.

O tym miacie on pamiętał.

Teatr wędrujący

Koysze się ich aktorski wóz Tespisa na wyboistych drogach prowincji. Melpomena przemierza Ziemię Łódzką, wędrując od miasteczka do wsi — od sali strażackiej remizy do widowni prowincjonalnego kina. Wędrują tak po świecie — tym naszym małym świecie — już dwadzieścia lat. Zmienił się aktorzy i zmieniały się samochody, zmieniał się repertuar i zmieniali się dyrektorzy... Ale wciąż niezmiennie towarzyszyła teatrowi wdzięczność i sympatia widowni.

Teatr Ziemi Łódzkiej ma już 20 lat. Jest to pierwszy w Polsce Ludowej teatr objazdowy, działający w specyficznych i trudnych warunkach, docierający z ambitnym repertuarem do widza pozbawionego stałych kontaktów teatralnych. W ciągu tych 20 lat przygotowano 102 premiery, wystawiono blisko 10 tysięcy spektakli, które obejrzało prawie dwa i pół miliona widzów.

Można ująć w wykazy statystyczne owe suche liczby spektakli, premier i widzów. Nie można jednak pokwitować w żadnym sprawozdawczym zestawieniu tej ogromnej roli, tego znaczenia, jakie ma Teatr Ziemi Łódzkiej w krzewieniu kultury teatralnej — albo po prostu kultury. Ten wędrujący teatr jest bowiem nie tylko Melpomeną w podróży, jest także wędrownym bakałarzem — nauczycielem, a nieraz pierwszym nauczycielem kultury, literatury, plastyki... Ten teatr wędrujący przynosi ludziom do miasteczek i wsi pierwsze wtajemniczenie w Sztukę.

Ale jest to także teatr, który pełni rolę nauczyciela kultury, nie chce być — i nie jest — teatrem dla maluczkich, dla ubogich duchem. Zmienia się świat, zmienia się polska prowincja i teatr dziś nakłada na siebie znaczne rygory artystyczne.

Mówi dyrektor Teatru Ziemi Łódzkiej, Jan Perz: „Musimy się przystosować do rosnącej rangi matych miast, do przyspieszonych procesów kulturowych, musimy dostosować nasze myślenie do wymagań nowoczesności — stawać się normalnym teatrem, nowoczesnym, sprawnym, umiającym

podjąć każde zadanie artystyczne. Nie chcemy być teatrem dla ubogich”.

I nie są to puste słowa, bo właśnie u progu swojego jubileuszu Teatr Ziemi Łódzkiej daje coraz ciekawsze, coraz ambitniejsze artystycznie przedstawienia, staje się teatrem coraz bardziej istotnym i znaczącym na mapie kulturalnej Łodzi i województwa.

W założeniach programowych tego teatru tkwi przekonanie, że zespół idzie także na spotkanie z widzami, który czeka na prowokację intelektualną. Jest to publiczność myśląca. Ale — mówi dyr. Perz — nie chcemy też rezygnować z rozrywki, chodzi tylko o to, aby ta rozrywka była utrzymana w wysokich kategoriach artystycznych, aby kształtowała gust publiczności.

Stawia więc sobie Teatr Ziemi Łódzkiej w dniu swego jubileuszu ambitne zamierzenia. Chce towarzyszyć tęsknocie każdego myślącego człowieka do określenia swego miejsca w społeczeństwie, chce ułatwić poruszanie się w sferze ideologii, pomagać ludziom w kształtowaniu aktywnej postawy wobec życia i spraw kraju, proponować modele postępowania.

Artyści, którzy realizują te wysokie postulaty Sztuki, zasługują na szacunek i uznanie ich twórczego trudu. W dniu jubileuszu Polska Ludowa uhonorowała ich wysokimi odznaczeniami. Krzyż, Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: B. Bąrtosiewicz, E. Łowicki, J. Staszewski i E. Sutt, Złoty Krzyż Zasługi wręczono A. Baranowskiemu, a Srebrne Krzyże Zasługi otrzymali: A. Borysiak, M. Cegiłka, H. Dudziński, B. Killan, T. Mierzejewski, D. Misurkiewicz-Cwynarówna, W. Stasiak, H. Wagner i A. Wojciechowski. Brązowymi Krzyżami Zasługi udekorowano W. Baranowskiego i S. Tyczyńskiego.

Z okazji jubileuszu Teatr Ziemi Łódzkiej otrzymał Honorową Odznakę Województwa Łódzkiego. Nazajutrz po uroczystościach aktorski wóz Tespisa ruszył znów w drogę. Jak co dzień od dwudziestu lat powiódł do miasteczek i wsi słowo pisarza i aktorski gest.

Poezjo, jeszcze jeden wysiłek

Mieczysław Kucner w kolejnym zbiorze wierszy „Imię własne” przelamuje barierę w naszym poetyckim myśleniu, wskazując na relatywność pojęć estetycznych, sądząc, że terminologię nauk fizycznych można z powodzeniem zaszczylić na gruncie poezji. Oczywiście nie chodzi tu o jeszcze jeden eksperyment, autonomiczną nowość, sztukę dla sztuki. Czyny to jednak z pewną przesadą, szkodliwą dla jego poezji i tym samym dla odbiorcy. W zbiorze rol się od cenzorów, neutronów, protonów, fotonów. Zachwiana

jest również równowaga w przechodzeniu od konkretnego do abstrakcji, od sytuacji do uogólnienia. Występują pęknięcia w rozkładzie napięć dynamicznych wiersza, tak jak ze zdaniem metaforycznymi sąsiadują stwierdzenia sproszkowane, czy wręcz podręcznikowe. Jest to wynikiem poszukiwania odpowiedniego tworzywa językowego; z jednej strony chodził poecie o odrzucenie metafory jako dalekiego od doskonałości środka przekazu poetyckiego, z drugiej o stworzenie metaforyzmu. Czytającemu wiersze Kucnera daje się wyraźnie odczuć zagubienie poety w morzu języka, ale wydaje się, że jest to jednak zagubienie twórcze, że bliższe wielokrotnie skierowanym poszukiwaniom, aniżeli dezorientacji i braku panowania nad żywiołem słownym.

Mimo te i inne jeszcze uchybienia i niedociągnięcia drugi zbiór wierszy Kucnera uważam za ważne zjawisko w poezji polskiej lat ostatnich. Jeżeli potaniała ostatecznie odwaga w dziedzinie spraw ideologicznych, to wcale nie oznacza, że nastąpiła przecena śmiałości w sferze sztuki, tym bardziej że rzeczywiście rewolucje w jej łonie zostały zastąpione przeważnie przysłowiową „zmianą rękawiczek”. Kucner, będący niewątpliwie pod wpływem filozofii egzystencjalistycznej, widząc i wyrażając groźbę i tragizm naszego istnienia, nie ucieka się do desperackiego krzyku (por. wiersz „Musimy być”). Szuka nowego ładu umysłowego dla nowej rzeczywistości materialnej. Beckettowski symbol matki rodzącej dziecko nad grobem: „wchodzimy tutaj przez matkę, a wychodzimy przez śmierć” — nie zamyka dla Kucnera sensu ludzkiej egzystencji, tak jak zagrożenie ze strony niestannego postępu techniki (broń to zresztą obosieczna) nie niweluje znaczenia naszych poczynań. To nieprawda, że dzieło człowieka przerosło jego wyobraźnię, bo ona wciąż eksploduje; chaos tego świata jest może tylko wyrazem naszego chaotycznego myślenia. Sens Całości polega na wyłączeniu działania umysłu, odpo-

wiedzialność moralną, intelektualną nie jest poza nami, ani w nas samych, a między podmiotem a przedmiotem, między człowiekiem a rzeczą (por. wiersz „Samookreślenie”).

Wydaje się, że Kucner ma poza sobą spory o funkcjonowanie mitu w teraźniejszości, bo nie chodzi mu o odniesienia do historii, co mam mu za złe. W tym wypadku de gustibus non disputandum est. Osobowość ludzka umiejscawia w jednej płaszczyźnie czasowej, człowiek Kucnera wyzbyty jest kompleksów przeszłościowych, jest dynamiczny, otwarty na przyszłość, choć bywa sprawdzone do częste elementarnych, do sytuacji w nagłym rozbłysku nowej (jakiejś atomowej?) rzeczywistości. Racjonalizuje więc zmysłowe odczucia, proponuje więc postawę umysłu klasycznego, gdzie intelekt bierze górę nad emocjonalnym przeżyciem, przy czym, jeśli już mowa o klasycyzmie, jest to klasycyzm odmienny od pojmovanego historycznie, chociażby dwójga imion Rymkiewicza. Poeta nie odbywa peregrinacji historycznych, osaczony bywa wyłącznie przez rzeczywistość empiryczną i usiłuje ją porządkować. Można by powiedzieć, że to należy przede wszystkim do nauki, a nie poezji. A jest to przecież i mimo wszystko poezja, poezja jako próba porządkowania relacji podmiot — przedmiot. Jeśli filozofia zasklepiła się w rozwiązaniach natury czysto formalnej, jeśli nie usiłuje systematyzować i panować swym pojęciowym aparatem nad całokształtem przemian współcześnie się dokonujących, to zdobyć musi się na heroiczny wysiłek poezji jako pomostu między naukowym obiektywizmem a sensualnym odbiorem. I w tym widzę wielkie perspektywy dla tego typu poetyki, która w przypadku Kucnera z pewnością nie jest jeszcze szczytowym osiągnięciem, a próbą dokonania wyłomu w poetyckim myśleniu, próbą nowej Całości.

*) Mieczysław Kucner, IMIĘ WŁASNE, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970, str. 79.

POLONICA

KONWICKI PO FRANCUSKU

Nakładem wielkiej paryskiej firmy „Gallimard”, w serii „Du monde entier” („Z całego świata”), ukazał się pierwszy we Francji, dokonany przez Jerzego Lisowskiego, przekład powieści Tadeusza Konwickiego „Wniebowstąpienie”. Pisma francuskie przedstawiają Konwickiego jako wybitnego pisarza — filmowca, pioniera filmu autorskiego w Polsce.

W. N.

„MATKA” WITKACEGO W NRF

W październiku br. odbyła się w Düsseldorfie

niemiecka premiera sztuki Stanisława Ignacego Witkiewicza „Matka”. Sztukę tę, napisaną w 1924 roku, wyreżyserował gościnnie w NRF Erwin Axer, a wystąpił w niej najwybitniejsi aktorzy zachodniemieccy. W „Frankfurter Allgemeine Zeitung” (z 27 października br.) ukazało się omówienie tego przedstawienia. Recenzent chwalił reżyserię, scenografię i grę aktorską, uważając, że klimat lat dwudziestych oddano w tym przedstawieniu w sposób olśniewający. Po prezentacji sztuki Witkacego we Francji i we Włoszech, również w NRF sięgnięto po jego utwory, oprócz bowiem „Matki” zapowiadają się tam wystawienie innych sztuk polskiego pisarza, który — jak słusznie piszą krytycy — może uchodzić

za ojca współczesnego teatru awangardowego. Przypomnijmy, że przetłumaczono wcześniej w NRF dwie sztuki Witkacego, mianowicie „Kurkę wodną” oraz „Wariata i zakonnice”. Przekładów tych sztuk dokonał znany tłumacz Heinrich Kunstmann.

J. K.

FRANCUSKIE PISMO O RUDNICKIM

Dodatek literacki paryskiego dziennika „Le Figaro” z 12. XI. 1971 r. przynosi entuzjastyczną recenzję na temat zbioru nowel Adolfa Rudnickiego, który pod tytułem „Palczka” ukazał się po francusku, nakładem wydawnictwa „Gallimard”, w przekładzie Gilberte Crepy. Autor recenzji, Guy Le Aer'h

pisze: „Cztery wydane dotychczas po francusku książki Rudnickiego — to cztery arcydzieła. Osiągnięciem tym bardziej zdumiewające, że chodzi o teksty krótkie, „Palczka” złożona z 11 opowiadań dotyczy sprawy cierpienia w miłości. Pierwsza z tych nowel została napisana w 1937 roku, gdy autor liczył 25 lat. Trzy główne motywy Rudnickiego to miłość, śmierć i młodość. Recenzent omawia szczegółowo „Niekochana”, „Palczkę” i „Proch”, „Adolf Rudnicki” — kończy francuski krytyk — „głęboko porusza serca”.

W. N.

POLONICA

Przeszłość i teraźniejszość

Okoliczność, że książka ukazała się w ramach „Biblioteki Węzi” charakteryzuje najogólniej krąg ideowy, w którym rozwija się refleksja Bohdana Cywińskiego. Jednakowoż problematyka, podjęta przezeń w „Rodowodach niepokornych” (1971) ma znaczenie uniwersalne i obchodzi najżywiej ludzi myślących o różnych światopoglądach.

Autor udaje się w przeszłość nie tylko z ciekawości dla niej samej, lecz w przeświadczeniu, że zastanowienie się nad ludzkimi postawami z tamtych czasów uważne jest „pogłębić nasze postawy moralne, które składają nas do najbardziej współczesnych zaangażowań ideowych. Refleksja Cywińskiego „chce być studium wyborów cudzych i świadectwem wyboru własnego” i rodzi się z dążenia do „dialogu bezinteresownego i otwartego na wartości ideowe i etyczne, których łakniemy wszyscy. Chce być

apelem mobilizującym do realizacji tych wartości, tkwiących przecież w naszych rodowodach ideowych. W rodowodach wspólnych”.

Dlatego też zamknięta ona została w formę eseju historycznego. Powiedzmy od razu: niezmiernie interesującego, prowokującego do dyskusji, obnażającego drapieżnie schematy niezależnie od tego w jakim klimacie powstały. Podjął Cywiński ofensywę przechwytu objawom intelektualnej i nie tylko intelektualnej deucji, której zasięg i objawy są znacznie szersze, niż się to potocznie sądzi.

Więc dyskutujemy. „W całej refleksji nad współczesną polską etyką społeczną — pisze autor — zarówno w jej kształcie dziś realnie istniejącym, jak i postulowanym, nie można nie brać pod uwagę faktu, że współczesność organicznie wyrasta z przeszłości i że na

ludzkie postawy ideowe i moralne, obok istniejących doświadczeń, wpływają także tradycje postaw, odziedziczone po pokoleniach poprzednich”. Nie chodzi o powierzchowne odszukiwanie w przeszłości hasła czy programów, jakże często przywołujących w sukurs współczesności, nie chodzi o kolejną wersję mitotwór-

ząca się raz po raz we współczesnych rozważaniach o historyzmie. Historyzm Cywińskiego jest głębszy, bowiem ujmując on tradycję nie tylko jako obiekt ludzkiego modelowania, lecz również i społeczną rzeczywistość stanowiącą o historycznym charakterze naszego dzisiaj. I dlatego zatrzymujemy się nad obserwacją

Rodowody niepokornych

stwa. Nie ma tu zbieżności z postawą egzystencjalistyczną, wedle której człowiek subiektywnie kreuje tradycję przeszłości, swoistą historyczną mitologię, mającą nadać sens jego egzystencji, jakiś sztuczny świat wartości wystarczający za pozór jego pogodzenia się z światem. Nie ma zbieżności ze zmarkszowaną wersją tych poglądów, pojawia-

jącego się raz po raz we współczesnych rozważaniach o historyzmie. Historyzm Cywińskiego jest głębszy, bowiem ujmując on tradycję nie tylko jako obiekt ludzkiego modelowania, lecz również i społeczną rzeczywistość stanowiącą o historycznym charakterze naszego dzisiaj. I dlatego zatrzymujemy się nad obserwacją

anachronizmem, wychowawczą, formacyjną rolę przekazywania wielkich tradycji”. Jest w tych zdaniach wiele optymizmu. Ale nie tylko z takich akcentów składa się historyzm Cywińskiego. Można dyskutować, czy zaproponowana przezeń diagnoza aktualnego stanu naszej społecznej świadomości historycznej jest adekwatna do rzeczywistości. Spieralbym się tu z autorem mniemam bowiem, że aczkolwiek wiele przemawia za takim właśnie widzeniem problemu, przecież są względy, które ten obraz uczyniłyby mniej jednoznacznym, mniej pesymistycznym. Myślę mianowicie o owej oporności społecznej w stosunku do koniunkturalnego historycznego mitotwórstwa, prawda, że często samej wynikającej z jakiejś mitologizacji, ale przecież świadczącej o aktywności historycznej świadomości Polaków. Czy sąd Cywińskiego jest w pełni słuszny — wątpię, ale przecież słuszny go tutaj, bowiem dobrze by było, aby był mylny w tej

części, w której jego słuszności podważyć nie można. „Historia magistra vitae — tempo współczesnych przemian świata i zaskakującej ewolucji myśli ludzkiej wskazuje nam raczej na ograniczoną rolę starszej prawdy, aniżeli na jej pozytywny sens. Formacja historyczna naszego młodego, a nawet średniego pokolenia, jest niska i nie daje mu poczucia zakorzenienia w świadomości społecznej w historyczną ciągłość następujących po sobie generacji. Przeszłość nie jest nauczycielką dla teraźniejszości, bo jest nieznaną lub znaną pobieżnie, wyrzykowaną i abstrakcyjnie. Brak nam świadomości historycznej i jako wiedzy, i jako poczucia tradycji, poczucia łączności z przeszłością, z której wyrastamy. Nie troszcząc się o ten brak, pozabawiamy się jako społeczeństwo istotnej inspiracji ideowej, a także bogatej inspiracji w dziedzinie etyki działania społecznego”. A także inspiracji w innych dziedzinach.

JÓZEF GRZELAK

(DALSZY CIĄG ZE STR. 1)

go, słowackiego, narodów jugosłowiańskich, czy irlandzkiego. Wiek XX przyniósł coraz większe zrozumienie faktu, że sztuka ma również znaczenie międzynarodowe. Nie bez racji stowarzyszenia takie jak Penclub, czy S.E.C. przeciwstawiają siłom destrukcji i wojny totalnej (to jest niszczącej więcej wartości, niż je następne pokolenie może odbudować) — procesy twórczości, w szerokim znaczeniu tego słowa.

Trzeba więc powiedzieć, że zupełnie przestarzałe jest pokutujące jeszcze, tu i ówdzie przekonanie o „luksusowym” i „nieważnym” charakterze sztuki. Zauważono, że przed 1939 rokiem ministerstwa kultury i sztuki istniały tylko w kilku państwach europejskich; dziś działają niemal wszędzie. Nikt już w 70-tych latach XX wieku nie tęskni za „wieżą z kości słoniowej”, w której by się mogła zamknąć sztuka. Poglądy oscylują raczej między tymi, które sprawę przeżyć artystycznych uznają za sprawę nierozdzieloną od doznań moralnych — i także, które sprawom sztuki chciałyby przyznać miejsce specjalistyczne, podobne do tego, które zajmują uczeni czy technicy.

2. By spełniać doniosłe swe funkcje w społeczeństwie, sztuka nie może być zdana na własne siły. Stąd wynika potrzeba organizowania mecenatu. W gruncie rzeczy nie jest on jakimś przywilejem i specyficzną własnością sztuki. Szkolnictwo wszelkich stopni, służba zdrowia, wysiłki badawcze, ochrona krajobrazu, również potrzebują pomocy i poparcia. Nowoczesne państwo ma, wedle interesującej obserwacji prof. Jean Lacroix, trzy doniosłe zadania: „Żyć! Leczyć! Uczyć”. Zatem pedagogia zostaje wysunięta na miejsce bardzo wysokie, równorzędne z zaspokojeniem potrzeb materialnych i ochroną zdrowia. Otóż w zakresie pedagogii szerzej pojętej, wkracza i kultura. Wykazywał to już w swej świetnej książce „Zagadnienia kultury duchowej w Polsce”, Leon Chwistek.

Mamy w naszym kraju piękne tradycje mecenatu, szczególnie z drugiej połowy XVIII stulecia i walki o niepodległość. Stanisław August był jednym z najświetniejszych i najbardziej świadomych mecenasów nie tylko własnej epoki. Wiek XIX znał przykłady mecenatu społecznego. Ież fundacji czy inicjatyw temu celowi służyło! Choćby teatry małopolskie, czy prywatne sceny warszawskie, na przełomie wieków. Czy prywatne stypendia dla młodych twórców, jak Stryjeńskiego, który umożliwił, błogosławiony w skutkach, wyjazd Wyspiańskiego do Paryża. Czy mecenaty, niemal z groszowych powstałe składek, które umożliwiły rozwój czytelnictwa w Wielkopolsce, na Śląsku czy Pomorzu.

Oczywiście, można by przytoczyć przykłady odwrotne: samotność i bezradność wielkich twórców,

szczególnie Norwida. Dowodzą one jednak tego samego: potrzeby dobrego pojętego mecenatu. Czeskie społeczeństwo miało prawo na gmachu „Narodnego Divadla”, powstałego ze składek, umieścić napis ambitny a jakże zasłużony: „Naród — samemu sobie”.

3. Właściwym zadaniem mecenatu jest tworzyć możliwie korzystne warunki, w których sztuka dojrzewa; z drugiej strony — opiekować się recepcją dzieł artystycznych, zapewniać im możliwie najlepszy i najskuteczniejszy rezonans.

Nikt już dziś (lub prawie nikt) nie uważa, by nędza czy samotność artysty były niezbędnym wa-

„Zyciu Warszawy”, brzmi jak najbardziej współczesnie.

Dobrze tu będzie przytoczyć kilka przykładów. Wystarczy nieco podróżyć po kraju, odbyć spotkania z wykładowcami szkół średnich, by zrozumieć — że już dziś nasi pedagogowie odgrywają ogromną rolę w życiu kulturalnym. To oni w dużej mierze podnoszą poziom teatrów, proponują czytelnictwo książek i czasopism. Mecenat kulturalny ma przy tej okazji ogromne zadanie. Na przykład: spotkania z pisarzami i artystami, organizowane w wielu ośrodkach, mają poziom wysoki i znaczenie niewątpliwie, gdyż dokonują się przy współpracy profesorów wy-

naszą siłą w okresach niewoli, czy ostatniej wojny. „Płomienistym skrzydłem Polski” nazwał Słowacki Kraków, który za jego czasów był małym miasteczkiem. Słowa niemal proce, gdy się pomyśli o wydarzeniach przełomu XIX i XX stulecia, a także i międzywojennych. Ale i Łódź, Lublin, Poznań, Kielce, Gdańsk, Bytom, Częstochowa, Zakopane, Bydgoszcz, Toruń, Kalisz, Kazimierz odegrały rolę niebagatelną. Zeromski marzył o zniknięciu „białych plam” na mapie kultury polskiej, a ruch Cierlikowski w latach międzywojennych wykazał, czym jest twórczość wiejska.

Otóż mecenat ma wiele do po-

w Polsce w 1945 roku, powinna doznawać opieki ze strony władz zarówno lokalnych, jak centralnych.

Mecenat — to także sprawa młodzieży. Czy nie należałoby w tę sprawę włożyć część energii, poświęconą przez dziwne nieporozumienie, na propagowanie „Trędowatej”? Powieść Mniszkówny ma u nas tę tylko zasługę, że stała się pobudką napisania jednego z najświetniejszych dzieł satyrycznych: „Na ustach grzechu” Magdaleny Samozwaniec. Sztuczne i „na siłę” forsowanie grafomanii, to „mecenat” osobliwego rodzaju. Niebezpieczeństwo „szmiry” (której pojęcie starałem się w swoim czasie ustalić) jest groźniejsze, niżby się mogło wydawać. Jako antidotum widzę konieczność o wiele wydatniejszego, niż się to dzieje obecnie, poparcie twórczości młodych autorów, czy naprawdę ambitnych instytucji. Wbrew krakaniu pesymistów, dzieła wybitniejsze znajdują nierzadko drogę do odbiorców.

Jedną z najważniejszych form mecenatu literackiego wydają mi się czasopisma literackie. Niestety, w wielu wypadkach z trudem sobie uświadamiają niektóre zadania w tej dziedzinie. Lekceważenie recenzji z książek, jako formy rezonansu, oddźwięku, rozprzestrzenienia ruchu literackiego, zjawisk godnych uchwycenia i przemyślenia, wydaje mi się faktem niepokojącym.

Z tych wszystkich powodów, sprawa mecenatu wydaje mi się ważną i ciekawą. Może warto by ją poddać wszechstronnej debacie?

WOJCIECH NATANSON

O mecenacie artystycznym

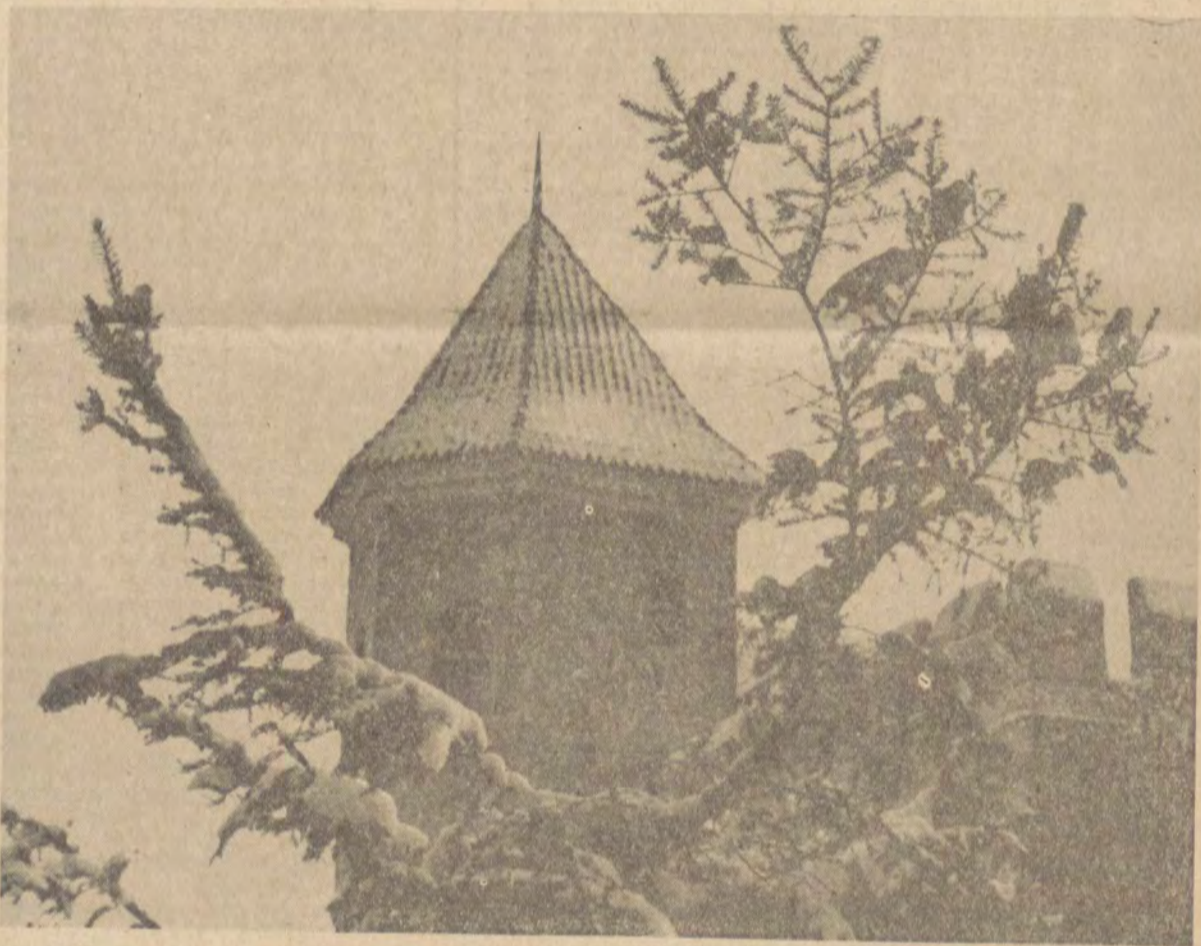
runkiem jego dojrzewania. Doktryna „poète maudit” była historycznym nieporozumieniem. Wynikała z paradoksu, że „im gorzej — tym lepiej”, im twardsze warunki i większa dysproporcja, tym bardziej pobudzający klimat twórczości. Praktycznie rzecz biorąc, konkretne zadania mecenatu artystycznego wysuwają się na plan pierwszy i one mogą wiele trudności rozwikłać.

Pierwsza z tych spraw — i jedna z najdonioślejszych — to stosunek popularności dzieła sztuki do jego poziomu, oryginalności, przełomowości. Przed 22 laty, na łamach „Nowin Literackich”, pisałem o zjawisku „kulturalnej obojętności”. Chodziło mi o niedoceniecie roli kultury w życiu społecznym. Jako przykład podałem teorię w myśl której popularność bezpośrednia i natychmiastowa, ma być miarą społecznej wartości dzieła sztuki. Obrazowo wtedy próbowałem wyrazić, że nie należy galezi owocowego drzewa przycinać do tego, który owoc zbiera. Może zbyt skrajna była definicja czeskiego „pisarza” Saldy, który określał piękno jako „to, co się dziś nie podoba, lub kiedyś nie podobało”. Ale jakieś jądro słuszności się w tym twierdzeniu mieści. Dziś już, praktycznie biorąc, mecenat społeczny bierze pod uwagę konieczność zdobywania terenu dla dzieł niełatwych, bezkompromisowych, rozszerzających horyzonty. Zbiorowe wydanie dzieł Norwida w ogromnym nakładzie (umożliwione pracą Gomulickiego), tworzenie eksperymentalnych ośrodków plastyki, muzyki czy teatru, ogłaszanie niełatwych dzieł literackich, — to doniosłe funkcje mecenatu, ilustrujące zarówno sprawę tworzenia najlepszych warunków twórczych, jak i optymalnych szans recepcji. Dodam, że nie należy czynić zasadniczej różnicy między klasykami, a twórcami współczesnymi. Norwid i Wyspiański dalej „owocują” w świadomości twórców. „Wielki człowiek do małych interesów” Fredry (co próbowałem wykazywać w szkicu „Jenialkiewicz są pośród nas”, w

szych uczelni pedagogicznych, nauczycieli szkół średnich i bibliotekarzy.

Wkroczyliśmy tu już na teren sąsiedni i również doniosły. Chodzi o decentralizację życia artystycznego w naszym kraju, co się wiąże z pracami mecenatu. Decentralizacja, istnienie wielu ośrodków, mocny nurt bijący nawet w niewielkich miejscowościach, był

wiedzenia w tym właśnie zakresie. Myślę, że jedna z najważniejszych zasad mecenatu artystycznego powinna brzmieć: „Nikt nie może być w naszym kraju odcięty od możliwości doznawania i tworzenia przeżyć artystycznych z racji swego oddalenia od głównych ośrodków życia kraju”. Niezmiernie pożyteczna akcja spotkań pisarzy z czytelnikami, zainicjowana



Fot. W. Parys

„...była to miłość
na śmierć”

(DALSZY CIĄG ZE STR. 5)

stronie. Spotykamy się dopiero po obiedzie. Opowiadamy wrażenia, godzina przerwy i do nauki. Wieczorem spacer po parku, kolacja i książki. O godzinie 23 koniec nauki, poczytamy książkę lub gazetę, trochę całusów i spać. W sobotę albo w niedzielę to moglibyśmy jechać na wycieczkę do lasu lub nad jezioro.

Piszę to Tobie bo często myślałem o tym, ale było to marzenie z którego nie potrafiłem jeszcze się wyzwoić.

Janusz

Nie ma w tych listach rzeczy nadzwyczajnych. Ot, zwykłe listy dwojga młodych, zakochanych ludzi. Trochę w nich naiwności, odrobina przesady, może egzaltacji... Próżno by szukać motywów, które doprowadziły do tragicznego finału.

Został tylko jeden list, który teraz, gdy się go czyta wiedząc jak zakończyła się miłość tych dwojga ludzi, może budzić niepokojące refleksje. Pisał go Janusz z N.:

KRYSIK!

Coś wreszcie musi się stać. Coś,

wreszcie musi przelać ten kielich rozpacz, która tak jak larwa wryza się w moją duszę. Czekam na to uniesienie, które pozabawi mnie nareszcie chłodnego rozsądku, pozwoli działać przeznaczeniu. Wierzę w to przeznaczenie bo wiem, że jedynie ono jest prawdziwe, pozbawione fałszu i obłudy. Wiem, że wypełnia się ono całkowicie i bezpowrotnie. Cieszę się, że Ty jesteś osobą, z którą potrafię znaleźć wspólny język właśnie w tej sprawie. Dodaj mi odwagi, abym był zdolny za nas oboje podjąć decyzję, abyśmy wypełnili treść tego, czego przez całe życie nie potrafili udowodnić. Wierzę, że jesteś najbardziej odpowiedzialną osobą na świecie, dalaś mi dowody, że potrafisz wierzyć w rzeczy, których nikt nie potrafi zrozumieć. Jesteś taka sama jak ja tylko brak Tobie odwagi. Możesz być pewna, że będę Tobie wierny do końca. Czekam na Ciebie.

Janusz

Trudno jednak przypuszczać, aby w czerwcu, gdy Janusz pisał te słowa, ktoś poza nim i Krystyną mógł rozszyfrować, jakie prze-

znaczenie ma autor na myśli. Mógł to pisać przecież pod wpływem przejściowego rozgorzycenia. Usunęto go ze studiów za brak postępów w nauce. Ale to nie oznaczało, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Mógł na nowo podjąć studia, pójść do innej szkoły. Dziewczyna, którą kochał, odważajmniej mu miłość, nie odrzucała go. Jej rodzice byli dla niego życzliwi. Można przypuszczać, że pomogli mu, gdyby do nich się zwrócił. Choćby ze względu na córkę, która nigdy, ani słowem, nie uskarżała się na Janusza. Wprost przeciwnie, dbała starannie o jak najlepszą opinię Janusza w oczach rodziców, jak mogła starała się utrzymywać ich w tym przekonaniu. Najpewniej w obawie, aby nie nadwładlił tej opinii zataila przed rodzicami fakt, że jej chłopiec został usunięty z uczelni. A może to po prostu lekceważyła? Miała na książeczce oszczędnościowej PKO znaczną kwotę, która mogłaby im wystarczyć na samodzielne życie we dwoje przez co najmniej dwa

A zagrają muzykantów,
Bo bierzeta grosz galanty
Jak pieniądże to bierzeta,
A jak zagrać to nie chceta!

W Lowickiem nie ma wesela bez tej przyspiewki, bez żołnierza „na urlopie” i bez ludowych muzykantów. Tak przynajmniej twierdzi kapela Stefana Winnickiego z Lowicza, która pomimo naporu współczesności i obyczajów miejskich wiernie trwa przy zanikającym folklorze muzycznym. Na przekór modzie na big-beat, kapela ta, ubrana w bajecznie kolorowe stroje lowickie — gra na tradycyjnych instrumentach ludowych (harmonia, skrzypce, bęben) i śpiewa dowcipne przyspiewki, pozwalające w nich także „dogryzać sobie”. „Bo naród lowicki — twierdzą kapeliści — jest „szczyry”, ludzie tu się o byle bzdet nie obrażą”. Sam Winnicki zaś, pełen werwy, sympatyczny 40-latek — wytłumaczył mi przy okazji z humorem, po co urządził się wesela. Powiecie: aby dwoje ludzi płci odmiennej mo-

muzykanckiej przygody. Jest mu ona droga jak owe lowickie wesela, które dziś jeszcze gromadzą po 500—600 osób, biesiadujących — latem — przy stołach, ustawionych i w trzech sąsiedzkich stodołach. Muszą się wtedy muzykanci od stodoły do stodoły nachodzić, lecz satysfakcji i grosza z tego też mają niemało. Przy tym cieszy ich to, że choć ludzie w Lowickiem już w pasiaki się nie ubierają, to jednak nadal „ciągną” do ludowej muzyki i śpiewu. Ale nie tylko do ludowej, gdyż wieś lowicka — podobnie jak w całym kraju — przebrała się także obyczajowo i dlatego kapela Winnickiego musi godzić gusta i starczych i młodzieży. Toteż na weselach i zabawach gra ona właściwie wszystko, od polek i kujawiaków, aż do rytmów południowych i big-beatowych. Nlech by jednak spróbowali nie zagrać oberka kiedy na wiejskiej zabawie poproszą o niego stare „zakapiory”!

Kapela Winnickiego gra jednak oberki i inne tańce ludowe nie z

szale także śnieżaków ludowych i istnieje już drugi rok przy Powiatowym Domu Kultury. Kapeliści schodzą się tam, muzykują do woli, nagrywają to muzykowanie na taśmę magnetofonu i doskonalią się przez słuchanie z niej później samych siebie. Klubem opiekuje się Z. Rutówna — kierownik miejscowego wydziału kultury, a prezesem jest — oczywiście — Winnicki. A choć nigdy nie uczył się zasad muzyki w szkole — komponuje sam muzykę ludową i pisze do niej teksty zabawnych przyspiewek.

Spyta ktoś: skoro folklor muzyczny, jak wszelki folklor ludowy — zanika, i najsilniej przemawia do ludzi starszych, to chyba grają go same stare „zakapiory”? „A guzik!” — odpowiem za Winnickim, któremu też daleko do zgrzybiałości. Są w kapelach, również w Winnickiego, 16- i 18-latków, w sumie 25 proc. kapelistów woj. łódzkiego to młodzież. Sytuację tę w Lowickiem nie można by jeszcze poprawić, gdyby w

Karnawał samopałów

(Dalszy ciąg ze str. 5)

sko i ganiał za piłką. Jego najbliższym towarzyszem tych zabaw był zapalony piłkarz, minister spraw zagranicznych Algierii i główny współorganizator spisku przeciw Ben Belli — Abdel Azis Buteflika. Jeszcze wiele innych szacownych osobistości kocha i popiera tę „najpiękniejszą grę”, którą, mimo wielkich upałów, uprawia się tu z pasją godną lepszej sprawy. Tego wieczoru jednak dwa ogromne snopy jupiterów padły na zbliżenie, okazała scena. Siedziałem na trybunie i czekałem na początek przedstawienia. Ponieważ przeciągało się to w nieskończoność, miałem czas przyjrzeć się dokładnie obiektowi. Kilkadziesiąt lat temu była to chyba arena do walki byków. Już nie chodzi o bariery i siatki, odgradzające widownię od płyty boiska — niewielkiego zresztą i bardzo wąskiego. Ale te kamienne sklepienia i druciane, prowadzące z szatni na boisko wybiegi... A może w ten sposób chroni się zawodników i sędziego przed zemstą tiumu? Ale Alegierczycy nie są przecież mściwi. Posiadają wielki temperament, lecz nawet w wielotysięcznej masie, krzycząc i podniecając się na różne sposoby, nie robią żadnych szkód: nie bluźnią, nie palą ławek i gazet, nie ciskają kamieniami i butelkami.

Obserwowałem ich, kiedy wreszcie zaczęła się grana w języku arabskim sztuka. Byli podnieceni, a nawet zdenerwowani. Starzy sykali przez zęby, zaciskając na kolanach gruzłowate dłonie, młodzi głośnymi okrzykami ostrzegali bohaterów przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Każdy gest, każde słowo brali na serio. Z nienawiścią i czujnością śledzili kroki kolonialisty, ubranego w myśliwski kombinizon, tropikalny hełm i długie, sięgające kolan buty. Człowiek ten raz za razem strzelał z pejsza, wymyślając spowitwem w sute, regionalne szaty pasterzom, wśród których jeden odznaczał się dwumetrowym wzrostem, piękną twarzą i niezwykle butną, wojowniczą postawą. Z każdą minutą zaostrzały się starcia między francuskim kolonialistą, a mocarnym buntowniczym pastuchem, który wciągał do buntu nawet tych tchórzliwych, cherlawych tubylców. W pewnej chwili zaczęło się trzęsienie ziemi, które w rzeczywistości też parę razy nawiedzi-

ło Mostaganem, i wszyscy — żli i dobrzy — bohaterowie rzucili się twarzą na podłogę, i widać było, jak kolonialista i jego zaufany szpicel szcękają ze strachu zębami, co wywołało pogardliwy, szyderczy śmiech na trybunach, natomiast mocarny pasterz i jego drużyna znieśli tę przypadłość losu z godnością, próbowali nawet uśmiechać się w pozycji leżącej, co wywołało na trybunach gromkie brawa — a kiedy powstał wał w ziemię ogromnymi kijami, kiedy zaszarżowali na oniemiałych dręczycieli ludu, szczęście widzów doszło do zenitu.

Taka reakcja widowni usatysfakcjonowałaby z pewnością każdego europejskiego aktora i reżysera, ale byłaby także doskonałą lekcją i ostrzeżeniem dla wszystkich rojących neokolonialne nadzieje polityków.

Cała algierska sztuka opiera się na wspomnieniach rewolucji, które poruszają ludzi do głębi.

Kiedy opuszczałem „amfiteatr” w Mostaganem, tłok u bram wcale nie zelżał. Starcy w turbanach czekali cierpliwie na okazję, chcąc za wszelką cenę zobaczyć choćby fragment spektaklu, młodzież sparaliżowana świadującym wzrokiem żandarmów, przestępowała niepewnie z nogi na nogę, napraszając się bramkarza, aby ich wpuszcili chociaż na chwilę, bose dzieci raz po raz próbowały się przecisnąć do środka pomiędzy nogami cerberów, albo ryzykowały wspinaczkę po murze, która często kończyła się bolesnym upadkiem po tej lub po tamtej stronie barykady.

Tak wyglądał w Mostaganem Festiwal Sztuk Rewolucyjnych.

Niby karnawał — a przecież demonstracja.

Niby zabawa — a w gruncie rzeczy sondaż panujących nastrojów.

Po długich latach kolonialnej przeszłości, wolność w Algierii jest owocem o najpiękniejszym smaku. Naród wali do teatru, bo chce jeszcze raz przeżyć swój triumf. Myśl — JESTEŚMY WOLNI — ciągle jeszcze ma orok świeżości. Przecież ciągle jeszcze można spotkać na piaszczystych skwerach kalekich partyzantów, którzy w ustach i w oczach przechowują najnowszą historię, a zardzewiałe garłaczki w ich rękach nie są teatralnym rekwizytem.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

TADEUSZ SŁUPECKI

Niechaj grają muzykanci



gło oficjalnie zabawiać się w małżeństwo. „Guzik — uśmiechnąby się Winnicki — prawdziwy powód wyjaśnia ta oto przyspiewka:

Oj, kochani ludzie,
Proszę się nie gniewać,
Po to są wesela —
żeby wszyscy śpiewać!

Kapela Winnickiego utrzymuje, że lowickie wesela urządzi się także po to, aby muzykanci — i nie tylko oni — mieli później co wspominać. Więc wspominają. Najpierw o weselnej kucharce, tak im radę, że ugościła ich z pośpiechu czystym spirytem, po którym płały się im palce na strunach skrzypiec i klawiszach harmonii. Później któryś opowiada, jak to raz musieli z instrumentami „pryskać” z izby przez okna, bo odpalony konkurent panny młodej wrzucił do wnętrza świecę dymną. Najzabawniej jednak działo się na innym weselu. Przyjęto ich na nim, jak wszędzie, z radością i zgodzie z obyczajem dano zjeść i wypić, tyle że potem zbyt długo kazano zabawić gości marszem powitalnym. Więc w końcu Winnicki wysłał kolegę na drugą stronę domu, aby wyniuchał, czemu młoda para zwleka z jazdą do ślubu. A kolega po powrocie: „Stefan, ciesz się, bo dziś podwójnie nam zapłaca”. „Czemu?” „Bo od 10 minut gramy nie tylko na weselu, ale i na chrzcinach. Panna młoda akurat urodziła lebskiego chłopaka”.

Winnicki z rozrzewnieniem uśmiecha się na wspomnienie tej

tej racji, że obawia się owych „zakapiorów”, jak w Lowickiem nazywa się ludzi niechętnych nowościom. Kapeliści grają dawne melodie, bo po prostu naprawdę je lubią. Nie są przeciwni zmianom na wsi i nowoczesności, żal im tylko, że w zapomnienie z dawnymi obyczajami odchodzi także folklor. Byłoby zresztą dziwne, gdyby ezuli inaczej. Winnicki np. muzykuje już „na ludowo” od 15 roku życia. Zaczął od „organeczków”, potem rodzice mieszkający na granicy powiatów lowickiego i sochaczewskiego kupili mu harmonię i to na niej przez całe życie grał na lowickich zabawach i weselach. A także na owych, również powoli zanikających, „pierzackach” (darcu pierza) i wieczorach biesiadnych po wsiach, podczas których młodzi schodzą się do jednej izby aby potańczyć. Później Winnicki osiadł w samym Lowiczu, grał tam w zespole pieśni i tańca kolejarzy a od 3 lat prowadzi chyba najlepszą w kraju lowicką kapelę. Gra to, co „w sercu nosi” — ów autentyczny folklor regionu, podziwiany również na festiwalach kapel w Kazimierzu, Plocku i gdzie indziej. Temu folklorowi służą zamilowaniem także pozostali członkowie kapeli: piekarz J. Szymański (skrzypce), rolnik Z. Pacler (bęben ludowy), emeryt kolejowy F. Wołowicz (przyspiewki) i rolniczka Z. Czubik (przyspiewki).

Lowicz jest chyba jedynym w Polsce miastem, które ma własny klub kapel takich jak Winnickiego i jest ich siedem. Klub zrze-

tamtejszym ognisku muzycznym wprowadzić dla chętnych naukę gry „na harmonii polskiej”, która jedynie, a nie akordeon, nadaje się dla kapel ludowych.

Warto też wspomnieć — jako o ewentualnym przykładzie dla kapel z innych powiatów naszego województwa — o dalszych planach kapelistów Winnickiego. Chcą oni mianowicie dla zapoznania młodzieży z lowickim folklorem muzycznym — urządzić w szkołach swego powiatu bezpłatne koncerty muzyki ludowej. Marzy im się również, aby Rada Narodowa Lowicza — „miasta kapel ludowych”, odwiedzanego licznie przez turystów, urządziła tam także — jako nową atrakcję miejską — kameralną salę folklorystyczną. Taką, gdzie turyści, a może i miejscowa młodzież, mogliby w określone dni tygodnia posłuchać kapel ludowych, zapoznając się z autentycznym folklorem muzycznym Lowickiego.

A tkwi w nim — poza swoistą egzotyką dla młodzieży i mieszkańców — także sporo tego, co nazywamy polskością i co potrafi ludzi zachwycać, nawet wyciskać im z oczu łzy. Kapeli Winnickiego przydarzyło się to już nie raz, m. in. na festiwalu w Plocku, gdzie Polak z Ameryki, były chłop z Lowickiego, chciał obdarzyć ich po koncercie dolarami — za to, że przypomnieli mu jego młodość i polskie tradycje. Bo muzyka ludowa — nie tylko lowicka — jest częścią naszych narodowych tradycji i kultury. I o tym powinno się pamiętać.

lata. Nie musieli się liczyć z wolą rodziców, oczekiwając od nich zezwolenia na wzajemny związek. Nawet gdyby myśleli o małżeństwie, z powodzeniem mogli poczekać zaledwie kilka miesięcy nim chłopak ukończy 21 lat. Nie było powodów do pośpiechu.

W najlepszej zgodzie i harmonii wyjechali na wakacje nad morze. Byli koto Jastrzebiej Górv. Tam przypadkowo spotkali przyjaciółkę Krystynę. Spędziła urlop ze swoim chłopcem. Było kilka innych, młodych par. Wspólnie spędzali czas.

W sierpniu zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Jeden z chłopców niosł swoją dziewczynę „na barana”. Nagle potknął się i upadł uderzając głową o twardy korzeń. Pogotowie zabrało go do Gdańska. Zmarł po kilku dniach w szpitalu.

W ostatnich dniach sierpnia Krystyna miała spotkanie z rodzicami w Sopocie. Nie było jej jednak w ustalonym terminie i miejscu. Dojbro po trzech dniach brat spotkał ją przypadkowo na

ulicy. Ojciec był zdumiony. Po raz pierwszy zdarzyło się, że nie widział córki całe dwa miesiące. A do tego nie przyszła na spotkanie, które sobie wyznaczili aby resztę wakacji razem spędzić podróżując samochodem wzdłuż Wybrzeża. Złożył to na karb związku z Januszem. Pomyślał, że przecież będzie musiał się przyzwyczaić do takich sytuacji, gdy córka przed nim stawiła będzie swego chłopca. Przeszedł też do porządku nad tym, że Krystyna i Janusz woleli zostać sami niż jechać z nimi wzdłuż Wybrzeża...

Janusz przyjechał do Łodzi w czwartek 23 września rano. Krystyna przygotowywała się z koleżanką do egzaminu. Gdy skończyły naukę, umówiły się, że spotkają się następnego dnia. Wieczorem oglądali telewizję. Ojciec wrócił do domu około pierwszej w nocy. Oboje byli w łazience. Nie chciał im przeszkadzać, zaraz położył się spać.

W piątek rano rodzice Krystyny poszli do pracy. Jej młodszy

brat pojechał z kolegami na gryby. Młodzi zostali sami w mieszkaniu. Był z nimi tylko pies, jednoroczny pudel, którego przynieśli do domu i wychowali od szczenięcia. Bardzo go lubili...

Milicję zawiadomili ojciec Janusza. Spozstrzegł bowiem brak swego myśliwskiego sztucera i amunicji. Próbował się dodzwonić do rodziców Krystyny, ale telefon nie odpowiadał. Komenda MO w N. przekazała alarmujący meldunek do Łodzi. Gdy wysłano na miejsce patrol, było już za późno.

Znaleziono ich w pokoju Krystyny. Okna były zasłonięte drewnianą żaluzją. Dziewczyna zastygła siedząc na kanapie, lewą ręką rozchylając dekolt bluzki. Biegli stwierdzili, że strzał w serce padł w momencie, gdy luła sztucera przyległa bezpośrednio do jej piersi. U stóp dziewczyny leżał Janusz.

Wszczęto śledztwo przeciwko Januszowi o zabójstwo Krystyny. Oczywiście, jest to sprawa formalna, konieczna z punktu widzenia

prawa i wymiaru sprawiedliwości. Niewątpliwie, odpowiadał by przed sądem, gdyby po zabójstwie Krystyny nie odebrał sobie życia.

Śmierć dwojga młodych, kochających się ludzi wywołała głęboki szok nie tylko wśród ich najbliższych. Była zaskoczeniem również dla ich koleżanek i kolegów. — Mielł przecież wszystko, mogli mieć jeszcze więcej. Dlaczego oni to zrobili?!

Właśnie — na to pytanie brak przekonującej odpowiedzi. Żadna hipoteza nie jest bezsporna.

Nawet ta, że okrutny finał miłości wybrali za obopólną zgodą i razem zaplanowali. Krystyna nie zostawiła żadnego śladu wskazującego, że dobrowolnie godzi się na śmierć. Nie stawiła Januszowi żadnego oporu, ale mogła uważać, że jej chłopak tylko żartuje.

Musiła mieć do niego zaufanie. Może nie wiedziała nawet, że broń jest nabita?

Janusz i Krystyna wywodzili się z różnych środowisk społecznych. Różnych też mieli przyjaćli, rozmaitości patrzających na życie i związane z nim problemy. Ich środowiska i przyjaciele nie zasługują jednak na potępienie za to, co uczynili ci dwoje. Oni nie byli podłożem tej tragedii. Zbyt wysoko cenią sobie życie, aby lansowali poglądy usprawiedliwiające dobrowolną śmierć. Uważali dwoje kochanków za takich jak oni, młodych i chciwych życia.

Jest to więc reportaż bez odpowiedzi. Może czas jej udzieli?

KONRAD TUROWSKI

P.S. W książce Marceliego Prousta Janusz napisał na koniec: Ostatnia wola: 1) być pochowanym razem z Krystyną. I to wszystko”. Pochowano ich razem. Na pogrzebie byli obie rodziny i przyjaciele.

K. T.

JACEK FRUHLING

Czy nie przesada z tymi teatrami poza Warszawą?

Skończyły się tegoroczne stołeczne Spotkania teatralne, podczas których Warszawa ma raz na rok sposobność zapoznania się z tym, co jest godne uwagi w tak zwanym terenie. Tym razem w Spotkaniach, obejmujących stosunkowo niewiele, bo pięć przedstawień, uczestniczyli tylko trzy sceny. Stary Teatr z Krakowa, Współczesny z Wrocławia oraz Teatr Wybrzeża. Kto dokonał wyboru, na jakiej podstawie i wedle jakiego miernika, trudno ściśle ustalić. Trudno wobec tego powiedzieć, kto za plusy i minusy tegorocznej imprezy odpowiada. Sądząc z frekwencji poruszyła ona przede wszystkim młodzież warszawską, która wszystkie spektakle brała niemal szturmem. Selekcja była tu niewielka, okłaskiwano do upadłego przedstawienia różnej wartości i jakości. Chyba najbardziej usprawiedliwiona była gorąca recepcja utworu Tadeusza Micińskiego „Polskie Termopile” ukazanego przez teatr „Wybrzeże”. Ten utwór mistyka, symbolika, nie jest łatwy, nie zawsze pokrywa się z tym, co stanowi prawdę historyczną naszych dziejów, ale mimo swej mglistości i małej komunikatywności, bije w nim gorącym tętnem serce pisarza patriotę podobnie jak w widowisku „Norwid” Hanuszkiewicza skonstruowanym z poszczególnych utworów i fragmentów wielkiego Cypriana. Nie można mieć również zastrzeżeń co do ukazania Warszawy „Biesów” Dostojewskiego i „Szewców” Witkiewicza, granych niemal równocześnie ze Spotkaniami przez warszawski teatr Ateneum. Natomiast zastrzeżenia i wewnętrzne protesty muszą budzić dwie sztuki ukazane w ramach Spotkań: „Mała Alicja” Albee’go, a przede wszystkim „Pater noster” Kajzara. Z tego, że popularnemu autorowi amerykańskiemu potknęła się noga, że po takich interesujących

sztukach jak „Wirginia Woolf” i „Wszystko w ogrodzie” napisał bełkotliwą brednię, bez sensu i składu, nie wynika, by ją należało demonstrować, choćby nawet w bardzo dobrej obsadzie i w ciekawej reżyserii. A polski „Pater noster” pod względem bełkotliwości, zagmatwania i niezrozumiałości bije o liczne długości amerykańską Alicję i z pewnością dałby się zastąpić przez niejedną sztukę polską, mniej bełkotliwą i nieudolną, niż ten smutny debiut.

No dobrze, powie ktoś, ale czy można zlekceważyć huraganowe okłaski widowni, w lewej części młodzieżowej, zarówno po „Alicji” jak i po występowaniu „Pater noster”? Na pewno nie. Warto tylko pomyśleć, co by się na tej widowni działo, gdyby się jej zaprezentowało jakieś soczyste, amerykańskie, angielskie lub zachodnio-niemieckie porno. Wyla by i klaskała jak szalona. A mimo to nie prezentujemy i chyba prezentować nie będziemy.

Tu dochodzimy do sedna sprawy. W przeciwieństwie do teatru czysto komercyjnego, liczącego się przede wszystkim z zyskiem za wszelką cenę, nasza polityka teatralna, przynajmniej formalnie, ma albo powinna mieć na celu nie tylko liczenie się z widownią, ale również a może przede wszystkim, kształtowanie jej smaku i upodobań. Mętny, niezrozumiały, pretensjonalny bełkot nikogo nie może niczego nauczyć niczego gustu nie potrafi ukształtować. Wychwalanie tego bełkotu, podkreślanie, że w przeciwieństwie do utworów względnie jasnych i zrozumiałych, kryją się w nim jakieś cenne wartościowe złoża, popiera i rodzi jedynie pretensjonalny snobizm, stwarza fikcję, jakoby wszystko, co się pojawia spoza Warszawy, było nie tylko hipernowoczesne ale hipergłębokie i odkrywcze.

I jeszcze jedno: Spotkania warszawskie były nie tyle spotkaniami ze sztukami, z wykonawcami, ze scenografami, ile konfrontacją z reżyserami. Reżyserzy ci zamiast tonować ściszać, jeżeli tak można powiedzieć kameralizować krzykliwość,

bełkotliwość i pretensjonalność utworów, które im powierzono, zachowywali się z małymi wyjątkami jak piłkarze na boisku, kopali swoje piłki jak szaleńcy, przyczyniali się do zamętu, prawie bez wyjątku traktowali teksty powierzonych sobie utworów, jak słomianki, w które się wyciera zabłocone buty. Najbardziej końską kurację zastosowano (jeżeli chodzi o reżyserie) do „Pater noster”, a tekst Dostojewskiego — Camusa został potraktowany jak fantazja filmowo-telewizyjna na temat „Biesów”.

Niewątpliwie teatry warszawskie z różnych powodów przeżywają pewien kryzys. Ale twierdzenie, jakoby poza Warszawą działy się rzeczy rewelacyjne, to gruba przesada. W każdym razie Spotkania tylko niewielu przekonać potrafiły o jego słuszności.



PIEŚŃ O ZIEMI RZESZOWSKIEJ

Dużą ruchliwość przejawia Naczelna Redakcja Programów Popularnonaukowych TVP. Wśród pozycji przez nią przygotowanych znalazł się w tym roku szereg bestsellerów. Charakteryzuje je różnorodność i atrakcyjność form telewizyjnych.

Ostatnio w ramach cyklu „Fakty mówią” redakcja ta zaprezentowała nam pełnometrażowy film dokumentalny pt. „Chorała o ziemi” (scenariusz i realizacja — Witold Rutkiewicz i Krzysztof Wojciechowski; zdjęcia — Janusz Kieszekiewicz; zdjęcia lotnicze — Jan Chodkiewicz; Telewizja Warszawa, 28.XI.71 r.). Film ten, zgodnie z poprzedzającymi go zapowiedziami, nakręciła ekipa w rekordowym, kilkunastodniowym tempie.

Szybkość, z jaką zrealizowano zadanie, podyktowana była chęcią zaprezentowania „Chorały o ziemi” w przededniu VI Zjazdu Partii. Trzeba jednak powiedzieć, że właśnie w przypadku produkcji filmowej krótki czas realizacji jest rzadko momentem przemawiającym na jej korzyść. Tam gdzie realizatorzy stawiają sobie za cel powiędzenie czegoś więcej, wyjście poza powierzchowną relację, pośpiech wydaje się złym doradcą.

Nie znaczy to, bym chciał tu zdyskredytować filmową pieśń o Ziemi Rzeszowskiej. Ogłędaliśmy na ekranach dzieło owiane szczerym zapałem twórców, niemało można się było o przemianach zachodzących na tych terenach dowiedzieć. Wydaje się jednak, że szansy tkwiącej w temacie nie wykorzystano. Rzeszowskie nie ukazało się nam w całym swym bogactwie i regionalnej odmienności.

Tak! Właśnie o niewygranie tych momentów regionalnych mi chodzi. O to, by film o Rzeszowskim nie był bliźniaczko podobny do filmu o Białostockim czy Koszalińskim w szybkim rajdzie po Ziemi Rzeszowskiej filmowcy dotknęli niektórych różnic specyficznych tego regionu. Ukazali pałac w Łańcutcie, nad którym jak zły duch snuje się jeszcze wspomnienie hrabiego Alfreda Potockiego, jego polowań na lwy sudańskie i grabieży mienia narodowego w końcowej fazie wojny. Z trudnej przeszłości Rzeszowszczyzny przypomniał strajki chłopskie i walki z bandami UPA.

Znaczenie słabiej jednak wypadła współczesność. Czy zamiast dyrektora kombinatu siarkowego nie lepiej było pokazać wspaniałą panoramę przemysłową Machowa, która otwiera się przed naszymi oczyma, gdy tylko opuścimy Tarnobrzeg i udamy się nowa, dwupasmową szosą w kierunku Baranowa? Albo jak nieefektywnie pokazano jedną z największych inwestycji wodnych — zaporę na Sanie i hydroelektrownię w Solinie! Zdjęcia nie uzmysłowiły ogromu tej budowli.

Nieladnie wspominać, czego w filmie nie ma. Jednak nie zdaje mi się, by należało pominąć fakt, że już w Polsce Ludowej wyrosło niemal z niczego, miasto wielkoprzemysłowe Nowa Dęba. Przed paru dniami premier Jaroszewicz uczestniczył w otwarciu linii kolejowej Nisko — Nowa Dęba — Kobuszowa. Poza rzeszowianami mało kto wie, jak wielkim dobrodziejstwem dla ludności miejscowej będzie ta kolej!

Albo sam Rzeszów. W 1945 roku był małym powiatowym miasteczkiem. Jego szybki awans uwidocznił się w filmie chyba zbyt słabo. Ogłędaliśmy fragment inauguracji roku akademickiego w Wyższej Szkole Pedagogicznej, ale chciałoby się o przemianach tego miasta dowiedzieć więcej. I przede wszystkim zabrakło szerszej informacji o ludziach. To tu przecież wystąpiło masowe zjawisko, które potem w całym kraju określono jako pojawienie się nowej grupy społecznej: chłoporobotników.

W Rzeszowskim właśnie mamy największą bodaj w kraju koncentrację inwestycji przemysłowych. Właśnie na tej ziemi, która przed wojną należała do Polski „B”, była siedliskiem głodu i skarlłowaciałych, niedożywionych dzieci. Te prawdy zabrzmiwały w filmie telewizyjnym fragmentarycznie, w sposób niepełny.

Szkoda, że pieśń o Ziemi Rzeszowskiej powstała w pośpiechu, z doskoku, jakby w wyniku spadochronowego desantu. Ziemia ta bowiem i jej dzielnicy, pracownicy mieszkający zasługiwali na większą uwagę. Ale dziękujemy Telewizji i realizatorom także i za ten szkicowy obraz!

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Powrót pana Hulota na nasze ekrany w filmie „PLAY TIME” dla wielu będzie spotkaniem z serdecznym i dobrym znajomym, ale dla ogromnej części widowni i to wcale nie tej najmłodszej, pan Hulot to postać nieznaną, może gdzieś w ustnej legendzie filmowej czasem się pojawiająca. Od dnia polskiej premiery „Wakacji

pana Hulota” dzielę nas bowiem siedemnaście lat, od premiery „Mojego wujaszka” także już lat jedenaście, Jacques Tati — scenarzysta, reżyser i wykonawca głównej roli w tych filmach, czyli pan Hulot, dążąc do uzyskania efektów absolutnej precyzji, pracuje nad swymi filmami bardzo długo, stąd też takie rzadkie premiery jego fil-

mów. A mimo to pan Hulot to już legenda kina, to postać, bez której nie ma pełnej historii światowej komedii filmowej.

Powraca we wszystkich filmach Tatiego zawsze taki sam — jest zabawny, lecz jego śmiechność nie tkwi w nim samym, rodzi się z jego sytuacji w świecie. Hulot — Tati zjawiając się, odkrywa i demaskuje te cechy świata, które świadczą o jałowości egzystencji, uniformizmie, konwencjonalności. Hulot jest delikatny i nieśmiały i te jego cechy są przyczyną katastrof, które nań spadają, delikatność i nieśmiałość nie są bowiem cechami świata, w którym się znalazł. Łamiąc zatem konwencje świata, musi Hulot być przyczyną konfliktów, które w komedii są sytuacjami komediowymi. Gagi w filmach Tatiego rodzą się drogą uproszczenia sytuacji, bo pan Hulot młota się właśnie w sytuacjach na pozór prostych, oczywistych i dopiero jego obecność odkrywa ich groteskowość, absurd i komizm.

Wszystkie cechy poprzednich filmów Jacquesa Tati odnajdujemy w „Play Time”, czyli „Czasie zabawy”, a mimo to nie sposób nie przypuszczać, że ci, dla których film ten będzie pierwszą okazją spotkania się z panem Hulot, mogą doznać pewnego rozczarowania. Komedie zwykliśmy rozjarzać między innymi z dynamizmem akcji czy postępujących po sobie gagów, z błyskotliwością sytuacyjnych wyników. Niewiele z tych rzeczy w „Play Time”. Powolność Hulota określa powolność narracji jego przygód, gagi Tati naniża na ów sznurczek opowiadania, w których odnajdujemy

szereg zdarzeń dramaturgicznie nie zawsze od siebie zależnych, jakby trochę niezbornych. Konsekwentnie określa je jednak sam bohater, a służą ideal jednej, którą sam Tati określa następująco: „To, co staram się krytykować, to nie nowoczesność, a pewien styl życia. To prawda, że ów styl życia z tzw. nowoczesnością jest ściśle związany. Występuje przeciwko uniformizacji i sterylizacji życia, obojętne — w architekturze, czy w sposobie myślenia”. Owa nowoczesność, o której Tati mówi, w jego ostatnim filmie określa właśnie supernowoczesna scenografia architektoniczna, pełna szkła i aluminium, funkcjonalna, lśniąca i higieniczna, lecz zuniformizowana, identyczna w Nowym Jorku i Paryżu. Tati nie ją czyni przedmiotem swych krytycznych osądów, lecz tak, jak deklaruje — ludzi, którzy poddali się presji uniformizacji, stracili indywidualność, wyzbyli się marzeń, te sknot do niespodzianek i przygód. Stali się nie użytkownikami, lecz niewolnikami nowoczesności. Hulot i dziewczyna, która Paryża w Paryżu nie znalazła i może jeszcze bukietek kwiatków, to ludzie i rzeczy z innego czasu, coraz mniej dla nich miejsca, zdaje się mówić Tati i dlatego jego komedia nie jest tak bardzo wesola. Nie mogę się jednak ustrzec wrażenia, że „Play Time” w stosunku do dawnych filmów Tatiego, przy całej swej precyzji, a może dlatego, jest trochę akademicki.

Angielski film „DWAJ DZENTELMNI WE WSPÓLNYM MIESZKANIU” w

reżyserii Teda Kotcheffa, budzi sprzeczne nieco uczucia. Zagadnienie rasizmu w jego angielskim, mniej drastycznym w porównaniu z amerykańskim, wydaniu — to główny problem tego filmu. Zagadnienie układu: czarni — biali znajduje w filmie Kotcheffa interesujące próby spojrzenia na nie z obu stron barykady. Spojrzenia z obu wypadkach są pełne dobrej woli, co więcej, obaj bohaterowie, tak czarny jak i biały, usiłują przekroczyć ową barykadę. Przyczyny niemożliwości tych przekroczeń, różne w obu przypadkach, określają jednak zawsze warunki zewnętrzne, determinanty społeczności zarówno białej jak i czarnej.

Może się w filmie Kotcheffa podobać owa próba wyważenia po obu stronach wszystkich za i przeciw, wszystkich podobieństw przy wszystkich różnicach. Jednocześnie jednak czuje się, że reżyser zatrzymał się na granicy sfery psychologiczno-obyczajowej całego problemu. Tam, gdzie wyjaśnić szukać należałoby w bardziej skomplikowanych układach społecznych, tam nie dochodzi. Słabością filmu jest również mało realistyczny wątek prowadzący, choć na pewno w wymiarze ambicji tego filmu bardzo atrakcyjny, podobnie jak całe jego tło. Dążenie do tej efektywności musiało w filmie Kotcheffa doprowadzić do pewnej powierzchowności ocen. Niemniej, uważam ten film za ciekawy, strona obyczajowa całej sprawy jest w „Dwóch dzentelmenach” bardzo frapująca.

EWA NURCZYŃSKA

Bez strachu

CZŁOWIEK W POTRZASKU

Przed laty, kiedy pracowałem jako urzędnik niewysokiego stopnia przyszedł do mnie człowiek w kieszonkowej odzieży o zaniedbanym wyglądzie. Pokazywał mi nawet nogę, ozerwoną i odmrożoną.

Człowiek ten był w potrzasku — drogą piśmenną zdobył sobie miejsce na pewnym kursie, kiedy jednak kierownicy obejrzeli go po przyjeździe nie chcieli go przyjąć, zamknęli także przed nim drzwi internatu. Człowiek ten znalazł się w potrzasku, nie miał co jeść, gdzie spać, nie miał pieniędzy na bilet powrotny do stron rodzinnych. Chciałem zainteresować nim moich przełożonych, aby zapewnili mu chwilowe nawet przytulisko w owym internacie. Człowiek ten jednak robił na wszystkich fatalne wrażenie, referował bowiem swoje sprawy w sposób niezwykle przewlekły, pragnąc popisać się erudycją używając nadmierne wielu słów obcych, oraz czynił niekończące się dysgresje w dziedzinie kwestii społecznych i filozofii. Przeprowadziłem przełożeni nie mieli siły aby słuchać go do końca, myślałem zresztą, że gdyby został mi zupełnie swobodą jego opowieść przebiegała w sferę nieskończoności. Tak zatem w dalszym ciągu był w potrzasku.

Wszystkie drzwi zostały przed nim zamknięte, zyskał sobie opinię uciążliwego gaduła. „Ma pan u nas drobne stanowisko i niewysoką płacę” powiedział mi jeden z przełożonych — a jednak ma pan całe ubranie, czyste palto i należytą obuwie. Czy zastanowił się pan dlaczego ten człowiek jest tak zaniebany i tak dźwięcznie gadatliwy, przecież to jest wyraźne odkształcenie od normy psychologicznej, przyczyną jego niepowodzeń tkwiąca w nim samym”. O, toż nie bardzo byłem pewien tego sądu. Bądź co bądź bilet z rodzimego miejscowości nie tkwił „w nim samym” lecz w jego kieszeni. Brak biletu powrotnego był faktem przedmiotowym, także w dziurę w jego ubraniu mógł włożyć palec każdy niewierny Tomasz. Głód był oczywiście jego doznaniem osobistym, wynikał jednak z przedmiotowego braku jada. Wierzę, że gdyby mu zapewnić przyodziewek, dach nad głową i jadio, jego „odkształcenia psychiczne” szybko by nikły — on był w potrzasku i należało go z potrzasku uwolnić. Potrzask jest sytuacją, z której człowiek nie może wyjść bez pomocy innych ludzi. Bez funkcjonowania ludzkiej uczynności i kredu zaufania. Trafia się jeszcze, że ten i ów wpada w potrzask i spotyka się jedynie z wielce realną i bezlitosną oceną sytuacji. Rzecz w tym, że sytuację trzeba nie tylko ocenić — trzeba starać się ją zmienić. Oczywiście to trudno, to wymaga wysiłku i cierpliwości. Sto pięćdziesiąt lat minęło — a on wciąż tak patrzy.

JERZY WIDOK

BERNARD SZTAJNERT

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

SMAKOSZ ZE STAROŻYTNOSCI

Z języczków skowronków, pawł i flamingów umiał przyrządzać wykwintne i delikatne ragout. Sos dla gotowanego pstrąga przygotowywał z pieprzu, estragonu, nasion selera, kopru, miodu, octu,

zmarł z przejedzenia? Nie dowiemy się tego nigdy. Pozostawił po sobie kilka książek kucharskich, z których jednak tylko dwie uchodzą dziś za tekst autentyczny: Jedna zawierała ogólne przepisy kucharskie, druga była zbiorem przepisów na przyrządzanie sosów. Przez długi czas

ry materialnej z czasów rzymskich. Fachowcy wykryli w przepisach Rzymianina wiele wpływu starożytnej kuchni Grecji. Owe tradycje sztuki kulinarnej Greków zachowały się w przepisach kuchennych do dziś na obszarze Turcji i większości byłych terenów imperium osmańskiego.

Mala książeczka pt. „Książka kucharska Rzymian” napisana według recept Apicjusa wyszła niedawno drukiem w Szwajcarii, nakładem autorki, Elżbiety Alföldi-Rosenbaum. Podobno pani ta sama wypróbowała niektóre przepisy Apicjusa, zwłaszcza te które w oryginalne podane były zbyt ogólnie lub fragmentarycznie, a więc wymagały praktycznego sprawdzenia. Autorka powstrzymała się jednak od podawania dokładnych określonych proporcji składników i czasu gotowania potraw, gdyż twierdzi za Apicjusem, że należy je dostosować do własnych gustów, doświadczenia kulinarnego i fantazji.

RZADKIE NAGRANIA PŁYTOWE RACHMANINOWA

Słynny rosyjski kompozytor i pianista Siergiej

Wasiliewicz Rachmaninow (1873—1943) rzadko pojawiał się na estradzie ze śpiewakami. Ale oto w 1926 roku przyjechała na występy w Stanach Zjednoczonych znana rosyjska śpiewaczka, Nadieżda Plewicka. Tym razem Rachmaninow, zgodził się wziąć udział w koncercie swej rodzicielki, Oboje chętnie potem występowali razem na estradzie. Do niektórych pieśni, jakie śpiewała Plewicka, Rachmaninow napisał akompaniament. Zwrócił się nawet do jednej z firm produkujących płyty, aby nagrała najlepsze wykonania ich wspólnych występów estradowych.

Nadieżda Plewicka (1884—1941) urodziła się w rodzinie chłopskiej, śpiewała początkowo w chórze w Kijowie, później przeszła do znanej w tym czasie kapeli Minkiewiczów. Jesienią 1909 roku na jarmarku w Niżnym Nowogrodzie usłyszała Plewicką Sobinow. To rozstrzygnęło o jej dalszej karierze śpiewaczej. Za namową i z pomocą Sobinowa, który był znanym tenorem, Plewicka zaczyna występować na estradach sal koncertowych.

Płyte z nagraniem rosyjskiej pieśni pt. „Biellicy-rumianicy”, w wykonaniu Plewickiej i z akompaniamentem Rachmaninowa oraz utwór pt. „Bez” Siergieja Rachmaninowa w jego wykonaniu, przynosi ostatni jak do nas dotarł 10-ty numer radzieckiego miesięcznika dźwiękowego „Krugozor”.

Oryginalnego nagrania pieśni „Biellicy-rumianicy”

w wykonaniu Plewickiej dokonano 23 lutego 1926 roku. Później pieśń ta została opracowana przez Rachmaninowa dla chóru i weszła do jego cyklu „Trzech pieśni rosyjskich”. „Bez”, utwór jaki przynosi płyta „Krugozora” jest jednym z pierwszych nagrań Rachmaninowa. Zapisu dokonano w roku 1920. Nagrania „Bzu” dokonał Rachmaninow jeszcze powtórnie w roku 1942. I to właśnie nagranie przynosi płyta „Krugozora”.

Siergiej W. Rachmaninow nagrywał często, ale miał bardzo wysokie wymagania odnośnie jakości nagrań.



Rekonstrukcja okrętu Krzysztofa Kolumba „Santa Maria”

CZY ODKRYTO OKRĘT KOLUMBA

Dwanaście lat temu pewien Amerykanin znalazł na dnie morskim, na północ od wybrzeża Haiti, kotwicę z admirałskiego okrętu Krzysztofa Kolumba, „Santa Maria”. Jak wiadomo, statek ten rozbił się na rafie koralowej rąnką w Święto Bożego Narodzenia roku 1492.

Ostatnio, inny badacz, czterdziestodwuletni Amerykanin Fred Dickson twierdzi, że odnalazł słynny okręt Kolumba. Od czterech lat Dickson prowadził systematyczne poszukiwania dna morskiego w miejscu gdzie spodziewał się znaleźć ślady „Santa Maria”, ale pomimo stosowania najnowszych urządzeń technicznych niczego nie odnalazł. Nie zrezygnował jednak z dalszych poszukiwań. Przyszło mu bowiem nagle do głowy, że nikt dotąd nie spróbował obserwacji z powietrza. Latając awionetką wpatrywał się pilnie w dno. I oto zauważył jakąś dużą, podłużną bryłę wśród skał koralowych. Nurkowie wydobyli z tej bryły jakieś szczątki. Po dokładnym

usunięciu zanieczyszczeń okazało się, że znaleziono cztery kawałki miedzi, sześć kawałków drewna, stworzeń z brązu i skorupy z glinianych garnków. Dickson był przekonany, że są to szczątki okrętu Kolumba. Przesłał próbki wydobytych przedmiotów do Centrum poszukiwań archeologicznych uniwersytetu w Pensylwanii. Po dokonanych badaniach okazało się, że istotnie skorupy pochodzą z garnków produkowanych w roku 1473, a więc na siedemnaście lat przed katastrofą okrętu „Santa Maria”, ale drewno pochodzi z drzewa, które zostało ścięte nie wcześniej jak dopiero w roku 1500. A więc jest niemożliwością, żeby drewniane kawałki pochodziły z okrętu Kolumba. Dickson nadal jest jednak przekonany, że owa podłużna masa tkwiąca wśród skał dna, widziana z samolotu, jest zatopionym okrętem Kolumba choć niektóre wydobyte szczątki pochodzą z jakichś innych statków rozbitych w tym samym miejscu. Obecnie Dickson gromadzi fundusze dla podjęcia dalszych prac, wierząc, że istotnie odnalazł poszukiwany statek „Santa Maria”.



Król Arkasylas z Cyreny dopłaca ważenia i wysyłki sifionu, w starożytności kosztownych korzeni do przypraw. (Rysunek na łacińskiej misie z VI w. p.n.e.)

sosu korzennego zwanego liquamen, gorczycy i gotowanego moszczu winnego. Drób dusił w winie, oliwie i korzeniach z dodatkiem główki czosnku, dodawał do tego kolendra, fasolkę i podewiał sosem z ziaren pini i mlekiem, w którym rozbijał przed tym białko jajka. Gęś przed zarżnięciem tuczył figami i poił winem z miodem.

Nazywał się ów największy smakosz starożytności, Marcus Gavius Apicjusz, żył za czasów cesarza Tyberiusza, a urodził się w roku 25 przed n.e. Seneka pisze, że Marcus Gavius Apicjusz otrul się z rozpaczy gdy pewnego dnia spotrzegli się, że pozostało mu jedynie 10 milionów sesterców. Suma ta wydawała mu się zbyt mała by mógł dalej pędzić życie smakosza i spraszać na swe uczy liczne grono gości, którzy rzymskim zwyczajem spoczywając na sofach w pozycji półleżącej, spożywali smakowite, wyszukane potrawy popijając je winem rozcieńczonym wodą. Czy jednak śmierć Apicjusa była samobójstwem? A może otrul się własnymi potrawami lub



Siergiej Wasiliewicz Rachmaninow i Nadieżda Wasiliewna Plewicka

skiego, za lat dziesięć przyjdzie nam czcić setną rocznicę jego śmierci.

Kim był ten genialny pisarz, którego książki pulsujące moralnym niepokojem tak zuroczyły Nietzschego i Gide'a, Claudela i Prousta, Camusa i Stanisława Brzozowskiego... Kim był ten pisarz, uważający się za geniusza, to znów wpadający w depresję; skazany na śmierć za społeczny radykalizm, zesłany do Omska na katorgę, służący w wojsku w Sempalatynsku... a potem zaciekle monarchista, antyrewołucjonista z wizją Chrystusa na rosyjskiej ziemi?

Uczeń Ewangeli, zwalczający socjalizm i... katolicyzm, dzielnicy świat na sytych, głodnych i pokrzywdzonych. Zaciekle monarchista i poszukiwacz moralnej prawdy świata...

Kim był?

„Był pisarzem wielkim — powiada Cat-Mackiewicz — pisarzem klasy Cervantesa, Szekspira, Woltera, był myślicielem chrześcijańskim, obrońcą moralności

Chrystusowej, można go zestawiać nie tylko z Balzakiem, ale i ze świętym Franciszkiem z Assyżu lub Tomaszem a' Kempis (...). Kocha carów, wśród wielkich pisarzy rosyjskich swego pokolenia on jeden jest monarchista agresywnym. Car skazał go na karę śmierci przez rozstrzelanie, w drodze laski zesłał go potem na katorgę w Syberii”...

Kim był?

„To nie tylko największy artysta XIX wieku — pisze Dolinin — ale i najwybitniejsze zjawisko w historii kultury świata... Na swej drodze doszedł Dostojewski aż do paszkwili przeciw rewolucjonistom oraz idei rewolucji i do niewolniczych listów do Romanowych. Było to, oczywiście, obrzydliwe i niekierowne. Był on jednym z tych ludzi, którzy walczyli z rewolucją, a więc nie powinni nas interesować. Ale wśród tych ludzi Dostojewski był gigantem wśród ilipucich myśli. W swoich artystycznych obrazach, w swej publicystyce pozosta-

wił nam system ideowo-polityczny, najbardziej głęboki i najpiękniejszy z tych wszystkich, które przeciwstawiać można socjalizmowi...”

Był genialną sprzecznnością. Ale był konsekwencją w psychologicznej analizie, w artystycznym kształceniu swoich utworów.

Kiedy umarł — car wyznał wdowie dożywną pensję, równą pensji wdów po generał-majorach... Ale świat, ludzkość, historia literatury wyznały mu miejsce daleko bardziej zaszczytne.

Ten tysięcy brodac o ascetycznej twarzy i fanatycznych oczkach, pochylony nad sobą i ludźmi, z rękoma splecionymi na kolanach, przygląda się nam uważnie z pierwszych stron książek, wyłożonych za gładkim szkłem bibliotecznego ekspozycji. Sto pięćdziesiąt lat minęło — a on wciąż tak patrzy.



DOSTOJEWSKI

SCENOGRAFIA LITERATURY — 150 LAT — WYSTAWA W BIBLIOTECE UL — KIM BYŁ? — OBOK CERVANTESA I SZEKSPIRA — SPRZECZNOŚĆ I KONSEKWENCJA — WCIĄŻ NA NAS PATRZY

Zapewne nie przypuszczał nigdy, choć pionoło w nim przekonanie o własnym geniuszu, zapewne jednak nie przypuszczał nigdy, że jego książki i fotografie, że książki o nim — będą przedmiotem uniwersyteckich wystaw. I oto wchodzimy w bibliotece UL w osoblwią scenografię literatury, w poligraficzną dostojewszczyznę, w szatach gąbot pełnych książek i fotokopii.

Pisarza poznaje się poprzez jego twórczość, nocami przy lampie wchodził się w jego świat, są to podróże długie i głębokie.

Podróże w scenografii książek, w grafice gąbot, w bibliofilskie słożki starych wydań, są podróźmi nieco „orbisowskimi”, ale i one mają swój sens. Zwłaszcza w Polsce, która tak późno odkryła pisarstwo Dostojewskiego. Pierwsze wzmianki o autorze „Zbrodni i kary” ukazały się w polskiej prasie akurat w roku jego śmierci, a zaledwie piętnaście lat temu rozpoczęto edycję wszystkich utworów pisarza.

Dzisiaj cały świat obchodzi 150-lecie urodzin Dostojew-

Żona gangstera

Nadia Kole, drugorzędna śpiewaczka, popisywała się w klubie „Lampart”. Jej uroda i seks ściągaly tłumy klientów. Wiedzieli, iż jest kochanką Roberta Losta, właściciela lokalu. Od czasu, gdy się rozwiodła z Billem Prestonem, prześladowano o rychłym małżeństwie między nią, a Robertem. Pewnego dnia Nadia zatelefonowała do mego biura politycznego: — Poruczniku, proszę przyjść jak najprędzej do mieszkania Losta... Zaszło coś strasznego... Boję się...
 Lost mieszkał w budynku przy 23 Ulicy. Znalazłem Nadie zaplakaną, apartament zaś w kompletnym nieładzie. Dywan był poplamiony krwią.
 — Gdzie jest trup? — zapytałem.
 Potrząsnęła głową. — Nie wiem, nie ma, ktoś wyniósł zwłoki.
 — Nieprzyjemna sprawa, współczuję pani.
 — Och, poruczniku! — Nadia wybuchnęła płaczem. Było w tym przerażenie i ból po stracie ukochanego człowieka. — Wiedziałam... wiedziałam... — jęczała.
 Dopiero po kilku godzinach uspokoiła się trochę i mogła wszystko opowiedzieć. Dowiedzieliśmy się, że Nadia Kole była żoną gangstera Billa Prestona i rozwiodła się z nim, gdy Preston oberwał pięd iat więzienia za napad rabunkowy. Dziwne, że gdy go przyłapano, nie miał przy sobie broni, on, który spał z rewolwerem. Ta okoliczność ocalila mu życie.
 — Nie chciałam czekać pięć lat na powrót męża — opowiadała Nadia Kole. — A poza tym nie kocham go już. Dlatego wniosłam o rozwód i szybko otrzymałam. Bill wściekał się. Groził, że wykończy każdego, kto się zbliży do mnie.
 Przez cały czas, gdy byliśmy razem z Robertem otrzymywałam telefony z groźbami od wspólników mojego męża. Bill, chociaż jest w więzieniu, ma zawsze w pogotowiu ludzi, którzy go słuchają.

— Czy pani sądzi, że to on kazał zabić Roberta Losta?
 — Nie mam ani cienia wątpliwości! Ostatni telefon otrzymałam wczoraj. Sugerowano mi opuszczenie miasta i udanie się na zachód. Lecz miałam odejść sama. Ani na chwilę nie brałam tego poważnie. Przecież już przeszły trzy lata.
 Przypomniałam: — Teraz pani widzi, Bill się postara, aby między pani narzeczony znalazł się na emeryturze.
 * * *
 Nasz Wydział Naukowy zbadał odciski palców pozostawione na miejscu zbrodni. Znaleźliśmy kilka. Należały do dwóch gangsterów poszukiwanych od trzech lat. Nie wątpiliśmy, że Robert Lost został zamordowany i prawdopodobnie wrzucony do morza. Kto wie, czy znajdziemy kiedykolwiek jego zwłoki.
 Po jakimś czasie dowiedziałam się, że Nadia Kole uspokoiła się i pracowała dalej w klubie „Lampart”, który przeszedł na własność wspólnika Losta, Waltera Hana.
 — Czy mamy kontynuować nadzór nad klubem „Lampart”? — zapytał pewnego dnia sierżant Gray. — Już przeszło osiem miesięcy i nie wykryliśmy żadnych śladów zbrodniarzy.
 — Chyba już przestaniemy, sierżancie. A co się dzieje z Nadia?
 — Spewa dalej, jest jak zwykle czarująca i tłum mężczyzn kręci się koło niej. Lecz ona nie zwraca na to uwagi.
 — Wcale się nie dziwię. Z tym mieczem Demoklesa nad głową!
 — Nie o to chodzi. Nadia u nika mężczyzn, ponieważ jest kochanką nowego właściciela klubu, Waltera Hana.
 — Co, Han? — zdziwiłem się.
 — Ten szesnastoletni brzydkał?
 — To jest silny i odważny człowiek, nie boi się nikogo.

Zadurzył się w Nadii bez opamiętania.
 — Ależ to wariat! Czy nie zdaje sobie sprawy, na co się naraża?...
 Poszedłem do klubu jeszcze tego wieczora. Walter Han zaprosił mnie do swego stolika.
 — Nie przyszedłem tu jako policjant, lecz jako przyjaciel. Pan wie chyba, co się panu może przydarzyć pewnego dnia z powodu Nadii?
 — Wiem, Walczyłem długo ze swym uczuciem i Nadia też nie chciała się zgodzić. Ale przekonałem ją, że nie boję się nikogo.
 — Panie Han, ostrzegam pana, Nadia to dynamit! Bill Preston wysadzi pana w powietrze!
 — Jestem asekurowany na życie — roześmiał się Han...
 * * *

Później spotkałem się z Nadia. Piękna śpiewaczka była jeszcze wystraszona. Przyznała mi rację, lecz coś mogła uczynić wobec uporu Waltera.
 — Jest szalony. Zauważ, że pani nie posłuchałam i nie wyjechałam stąd po śmierci Roberta! Boję się o Waltera... Tym bardziej, że groźby telefoniczne znów się zaczęły. Preston dzwonił.
 — Czy Han wie o tym?
 — Tak, lecz śmieje się z tego. Mówi, że wolałby umrzeć, niż wyrzec się mnie.
 — Stała się pani jego narkotykiem! To niedobrze!
 — Tak, lecz śmieje się z tego. Dzwoniłem do Nadii, aby się dowiedzieć, czy groźby powtarzają się. Mówiła, że tak. Wo-

bec tego zarządziłem, z własnej inicjatywy, rodzaj straży nad Walterem Hanem. Miałem nadzieję, iż tym sposobem uda mi się przypałać kogoś, kto brał udział w morderstwie Roberta Losta. Preston na pewno przysłał tych samych zbirów. Lecz moi ludzie nie mogli działać otwarcie, nawet wobec Waltera Hana. I dlatego ich nadzór nie był dostateczny.
 Gdy pewnego dnia odebrałem drugi telefon od Nadii, osłupiałem ze zdumienia.
 — Poruczniku!... — krzyczała histerycznie Nadia. — Jestem w mieszkaniu Waltera Hana! Poruczniku!... Zamordowano go... Nie żyje... Nie żyje...
 Tym razem przeżywała to o wiele gorzej. Nie mogliśmy podać jej badaniom przez dwa tygodnie.
 Pojechałem do więzienia, aby porozmawiać z Billem Prestonem. — Człowieku! — tłumaczyłem mu — mogłeś wyjść za miesiąc z więzienia, a później pozostać pod nadzorem policyjnym! Teraz nie otrzymasz zwolnienia. Te dwa wypadki śmierci Losta i Hana są twoim dziełem. Grozi ci fotel elektryczny. Lecz mogę cię jeszcze ratować, jeżeli mi powiesz nazwisko zbrodniarza, którego wysła-



Fot. J. Prajs

W NASTĘPNYM ŚWIĄTECZNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”:

- ☆ Reportaże z zagranicy
- ☆ Reportaże krajowe
- ☆ Wielki Plebiscyt z nagrodami „Łodzianie 1971 roku”
- ☆ Konkurs świąteczny
- ☆ Wiersze o Polsce
- ☆ Nowela kryminalna

oraz opowiadania, felietony, recenzje itp.

Numer ukaże się w podwójnej objętości 16 grudnia. Cena zł 3.

wiadomość, iż odziedziczyła klub „Lampart”. Walter Han pozostawił testament, w którym podarował kochance cały swój majątek.
 Uplynęło znów kilka miesięcy. Pewnego wieczora zażrałem do klubu. Nadia przestała śpiewać i występować na scenie. Była teraz szefem klubu „Lampart”, wydawała rozkazy ze swego biura.
 — Dobrze się pani urządziła — stwierdziłem.
 — Nic innego mi nie pozostało. Jako kobieta jestem skończona, nie pozwolę, żeby jakikolwiek mężczyzną kręcił się koło mnie.
 — Może pani posłubić znów Billa, gdy wyjdzie z więzienia.
 — Nienawidzę go! Zabił dwóch mężczyzn, których kochałam. Jeżeli tu się pokaże, nie odpowiadam za siebie!
 * * *
 Te słowa przypomniałem sobie później, gdy pod koniec roku odebrałem telefon ze szpitala. Mówił kapitan Wedey.
 — Przywieziono tu Billa Prestona, ciężko rannego. Chce rozmawiać tylko z tobą. Przyjeżdżaj prędko!
 — Preston wyszedł już z więzienia?
 — Tak, miesiąc temu. Jego żona usiłowała go zabić...
 Preston uśmiechnął się, gdy mnie zobaczył.
 — Co to za kobieta, Nadia Kole, poruczniku! Godna takiego męża jak ja! Lecz nienawidziła mnie i nie zawahała się strzelić do mnie.
 — To jest zrozumiałe, spowodowałaś śmierć jej dwóch kochanków.
 — Poruczniku, mam w kieszeni marynarki coś, co panu wyjaśni całą sprawę. Jest tam, w szafie...
 * * *

Spotkałem się z nią w biurze inspektora.
 — Panie poruczniku — rzekła, — Preston chciał mnie zabić jeżeli nie wrócę do niego. Musiałam się bronić...
 — Mam tu coś ciekawego — przerwałem kładąc na stole mały przedmiot. — Gdy Preston przyszedł do pani, miał w kieszeni marynarki ten magnetofon, który zarejestrował waszą rozmowę. Proszę słuchać. Uruchomiłem aparat. Głosy były silne i czyste.
 „Dobrze” — mówił Preston. — „Jestem odpowiedzialny za zniknięcie Losta. Ale nie Waltera Hana, którego ty zabiłaś wiedząc o testamencie. Poruczniku uwierz mi, twoim kłamstwom, że to ja nastąpiłem kogoś, aby usunąć Waltera Hana. Za karę musisz mi teraz ustąpić klub „Lampart”, a ja ci pozwolę posłubić kogo będziesz chciała...”
 Słuchając tych słów Nadia stawała się coraz biedsza.
 Po słowach Prestona nastąpiła gorąca kłótnia, wzajemne oskarżenia, aż do momentu, gdy Nadia wyciągnęła pistolet krzycząc: „A więc dobrze, zabiłam Waltera, miałam dosyć tego starego głupca, chciałam odziedziczyć jego majątek! Lecz ty nie nie dostaniesz, bo cię zastrzelę!”
 Nastąpiły dwa strzały.
 — Jest inna jeszcze sprawa — dodałem, gdy aparat zatrzymał się. — Robert Lost żyje. Został porwany na rozkaz Billa, który chciał panią przestraszyć i odsunąć wielbicieli. Ludzie Prestona zaincenizowali zbrodnię w mieszkaniu Losta, a jego wywieźli na wyspę na Pacyfiku należąca do gangsterów. Pozostałby tam na zawsze, gdyby pani zgodziła się na odstąpienie mu połowy swego majątku. Jutro rano przybędzie tu Lost, aby pokazać, że jest żywy i zdrowy. W tej historii jest tylko jeden trup — Waltera Hana — i jeden tylko zabójca: pani!!!
 A. S.



Lewym okiem

BYŁOBY DOBRZE...

Przed kilkoma tygodniami pisałem podenerwowanym tonem o tym, że jakaś władza — najprawdopodobniej Wydział Zdrowia Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, tak nas mądrze zrejonizowała, że mając przychodnię rejonową tuż pod swoimi oknami, zmuszeni jesteśmy dla draki korzystać z całkiem innej, odległej o wiele ulic stąd. Zeby nie było wątpliwości: mówię o mieszkańcach domu przy ulicy Rewolucji 1905 r. nr. 49. Na przeciwko (Rewolucji nr 54) jest przychodnia, ale nie nasza. Nasza jest przy ul. Kopcińskiego 32.

Ponieważ nikt na tamten felieton nie zareagował, powtarzam jeszcze dobitniej: to jest idiotyzm! Przechodziła się przez Łódź epidemia grypy z powikłaniami.

Zahaczyła mocno o mój dom, zmuszając do intensywnego korzystania ze służby zdrowia. Boże, żeby ktoś wreszcie dosłyszał, co mówią ludzie. Wszyscy ludzie: pacjenci, lekarze, siostry i rejestratorki. Gdzie jest ów tajemniczy, nieuchwytny czynnik, na którym wszyscy bezsilnie wieszają psy?

Zeby wezwać lekarza odbywamy wędrowną (pieszą, bo właśnie pada śnieg i tramwaje od razu zniknęły z ulic), tracąc dwie godziny czasu pracy. Zeby się dostać do lekarza tracimy cały dzień, na co trzeba mieć znacznie lepszą kondycję niż na normalne pójsię z gryppą nie gryppą do biura. Wizyty domowe lekarzy obejmują promień wielki a dziwny i niezrozumiały dla nikogo. Siostry z zastrzykami latają po trzech dzielnicach, błędą, nie nadążają. Po zwolnieniu wysyłamy domownika — jeśli jest jeszcze taki, nie złożony niemocą — znów na Kopcińskiego, na co traci następne dwie godziny. Już człowiekowi słów brakuje, a tam gdzieś cicho i spokojnie. Kiedyż się wreszcie obrażenie, kiedy zaczniesz bronić tego idiotycznego podziału, panowie miarodajni? Czym będziecie go bronić? Powtarzam: opinia o nim jest absolutnie jednomyślna, tylko pewno nie dociera, gdzie trzeba. A może byłoby dobrze wyciąć ten felieton i postać imiennie, na konkretne biurko? I poprosić uprzejmie o wyjaśnienia, zgodnie z ustawą o krytyce prasowej?

oczywiście jest dla mnie, że decyzje tego typu nie stwarzają optymalnych warunków działalności służbie

zdrowia, a przeciwnie — budują przed nią sztuczny, niepotrzebny tor przeszkód. Byłoby dobrze, gdyby wszyscy wszędzie i zawsze myśleli nad ułatwianiem i usprawnianiem życia, a nie nad jego udziwnianiem.

Podala niedawno „Polityka”, że przeprowadzona (nie wiadomo jednak, gdzie i kiedy) kontrola samochodów rozwożących węgiel wykazała, iż prawie żaden z nich nie wiozł legalnego towaru pod legalny adres.

Byłoby dobrze, gdybyśmy wiedzieli co robiono z wynikami takiej kontroli. Bo to już nie żart estradowy o kelnerach i o ożakach, to nie „Szpilki” i nie „Wesoły autobus”. To autentyczna, formalna kontrola.

Nielegalna sprzedaż węgla to złodziejstwo. Byłoby dobrze, gdyby słowa odzyskały swoje prawdywe znaczenia, gdyby ich było mniej, ale z pokryciem. —

PS. Byłoby dobrze, żeby korektor nie ufał zaudytu składowi — co skądinąd jest może objawem pięknej, harmonijnej współpracy — żeby z pracy nie zostawała sama para. Chodzi mianowicie o to, że w moim felietonie: „Dodatek filmowy”, miało być o pojściu pracy, a nie pary, i że zmiana tego jednego słowa w pierwszym zdaniu pozbawiła sensu cały felieton.

ĆWIEK